Rok III · Nr 2

Myśliwy



Czysto polskie i chrześcijańskie przedsiębiorstwo!

TEL. 12-98 **TEL. 12-98**

BROŃ I AMUNICJA

wszelkie naprawy, montaż lunet, nowe lufy itp.

S. WINIECKI

właśc.: M. Winiecki

Poznań, ul. 27 Grudnia 2, w oficynie

Przedstawiciel i b. pracownik firmy

B. Merkel — Suhl

SKUPUJEMY

SKÓRY surowe wszelkie, zajęcze, królicze, tchórze, lisie, kunie, kozie, cielęce, bydlęce — wszelkie wełny itd. Płacimy najwyższe ceny. GARBUJEMY — FARBUJEMY. PREPARACJE TROFEÓW MYŚLIWSKICH. SKÓRY FUTRZANE WYPRAWIONE kraj., zagr. wszelkie dostarczamy. Hurt — Detal

Pouczające cenniki — znaczek.



uality

Polska Centrala Skór i Futer Sp. z ogr. odp.

Poznań, ul. M. Focha 27-31.



WARSZAWSKA SPÓŁKA MYŚLIWSKA

Oddział w Poznaniu

ul. Br. Pierackiego nr 12

Fabryka amunicji i śrutu

Poleca

Dla P. P. Urzędników Państwowych wszelką broń na raty. Broń krótką do 4 rat. Broń długą do 6 rat.

DUBELTÓWKI

znanej fabryki belgijskiej **F. N.** bezkurkowe 220,— zł, z ejektorami droższe o 45,— zł

PISTOLETY

F. N. kal. 6,35 od 45,— zł

Najlepsze naboje śrutowe, które zdobyły mistrzostwa i wicemistrzostwa krajowe do rzutków pod nazwą „JUBILEUSZOWE"

ZEISS



ZIELSECHS

Wagi „piórkowej"

waży wraz z szyną tylko 350 g

Nowa, lekka luneta celownicza ZIELSECHS odpowiada najlepiej zwiększonym wymaganiom optycznym podczas polowania. Podobnie jak i przy wypróbowanej lunecie Zielvier z lekkiego metalu, podpórka obiektywu, tubus i szyna wykonane są z jednej części, stąd bezkonkurencyjna wytrzymałość nawet przy najczęstszym strzelaniu. Sześciokrotne powiększenie i największa przez oko ludzkie wyzyskana siła światła, powiększają użyteczność lunety Zielsechs przy zapadającym zmroku i zasiadce nocnej.

Stałe, dobre działanie optyczne oraz bezwzględna pewność celu są zagwarantowane przez doskonały montaż lunety z zewnątrz, dokonany bez rozbierania jej, a tym samym bez naruszania systemu optycznego.

Zamówienia przyjmują składy broni i rusznikarze, którzy również uskuteczniają montaż i ostrzelanie.

Wysyła bezpłatnie prospekty i udziela dalszych informacji firma

CARL ZEISS, JENA lub

GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO NA POLSKĘ

FIRMA

Inż. WŁ. LEŚNIEWSKI

WARSZAWA 22 - Al. Niepodległości 210

Tel. 8-16-06 i 8-16-46



„HADROGI"

SUCHARKI DLA PSÓW!

Jedyne sucharki polecane przez lekarzy weterynarii

„HADROGA"

Wytw. Chem.

Bydgoszcz, Matejki 2



MYŚLIWY
MIESIĘCZNIK
ROK III POZNAŃ, LUTY 1939 NR 2

Z DZIKARZAMI NA ODYŃCE

Zaczęło się pechowo. Po prostu nerwy zawiodły, jak to się zdarza przy dziczych miotach. Całe, pełne emocji, spotkanie trwało sekundy. Stałem na odsłoniętym stanowisku. Psy-dzikarze pogoniły gdzieś w las. Naganiacze wychodzili na linię. Coś czarnego przesunęło się w gąszczu. Pewnie naganiacz — myślę. Nagle ogromny dzik jednym susem zaczernił na luce, drugim włamał się w sąsiedni zagajnik. Rzucony odruchowo strzał strącił kilka gałązek. Zupełnie nieszkodliwie... Oprzytomniałem. Głębokie tropy w śniegu i czerniejące się na bieli grudki wydartej gwałtownym uderzeniem rapci ziemi przekonały mnie, że nie majaczyłem. Paskudne pudło — pomyślałem z goryczą, czekając w ponurym nastroju na kpiny sąsiadów. Ale nikt nie zakpił, aż dziwno. Zrozumieli dobrze, że takiego dzika można było chybić, zwłaszcza w takich okolicznościach. Polowałem przecież z wytrawnymi „dzikarzami". Przemyślenie dokładne wszystkich szczegółów tego niespodziewanego spotkania przyniosło mi ulgę. Zresztą czy do doznania pełni wzruszeń łowieckich potrzebne jest zawieszenie kapitalnych szabel na ścianie? Nic chyba nie wydrze wyobraźni wspaniałego widoku sadzącego przez linię czarnego jak smoła odyńca, zwierza, co pojawieniem się swym w ośnieżonej kniei wywołuje świetną wizję przedwiekowych łowów. Praktyczny sens tej miłej przygody był ten, że odtąd na stanowiskach stawałem z daleko większym spokojem i nie tracąc nic z podziwu dla sadzącego z ostępu dzika, łatwiej mogłem się zmusić do refleksu nad celniejszym ulokowaniem kuli.

Jeżeli jeszcze gdzieś w zakamarku drapieżnych pragnień błąkał się cień żalu do losu z powodu wczorajszego niepowodzenia, to rozproszył wszystko ranek. Knieja zaiskrzyła się najcudniejszą, puszystą bielą świeżego nocnego opadu. Nie poznałem lasu. W powodzi śnieżnej zanużyły się zagajniki. Pod sypkim ciężarem wygięły się gałązki, nie próbując zrazu strząsnąć ciążącej okiści. Wiatr nie przyszedł z pomocą. Było tak cicho, jak gdyby przyroda położyła palec na ustach puszczy, nakazując jej milczenie. W taki ranek las obiecuje myśliwemu dużo radości.

Trzeszczały wydobyte po rocznym wypoczynku w lamusie sanie, przedzierając się płozami przez zwały śnieżne. Czasem zgrzytnęły jeszcze na źle obsypanym piasku, czasem szarpnęły się na niewidocznych korzeniach, grożąc wywróceniem. Wtedy otuleni w ciepłe, hamujące ruchy, futrzane szuby, przyciskaliśmy mocniej do siebie śliskie lufy sztucerów, aby broń Boże, nie wypadły w zaspę. Towarzyszący mi leśniczy poprawił się na siedzisku, wydobył z ukrycia trąbkę i zagrał umówiony sygnał. Zasłuchaliśmy się, czekając na odzew. Strzygł uszami rozglądając się uważnie po lesie „Trap", doskonały, dobrze do łowów na dziki ułożony mieszaniec wilka z dobermanem. Nie mniejsze zaciekawienie objawiał zaprzężony do sań kasztan. Dobrze wiedziały o co chodzi, mądre, z knieją i łowami obyte zwierzęta. Nie czekaliśmy długo. Gdzieś w głębi ozwała się, stłumiona zwałami śniegu i odległością trąbka jedna, potem druga. To gajowi meldowali się po otropieniu ostępów. Wnet wynurzyli się z gąszczu schyleni i śniegiem osypani gajowi. Wiadomości przynoszą dobre. W niedalekim ostępie zaległ wycinek — „dobry odyńczuk" — poprawia swą relację stary gajus. Warto spróbować, to blisko — zachęca poczciwiec. Inni radzą, by wziąć wpierw mocnego odyńca, który obrał swe leże w odległym zagajniku. Odyniec nęci, ale rozwaga każe rozpocząć skromnie od wycinka. Ten wydaje mi się pewniejszy, niż tęgi wprawdzie, ale cwany i dobrze ostrzelany stary samotnik.

Umawiamy się krótko: bierzemy miot z wycinkiem — stanę na tropie wejściowym — za 15 minut leśniczy wejdzie z psem do miotu. Przy dobrym wietrze stawia mnie stary gajowy na przesmyku. Mam jeszcze dużo czasu, co najmniej 10 minut. Przede mną rzadko rozrzucone grube pnie sosnowe, między nimi zwarte krze jałowców zamykają wgląd w przedpole. Opieram o pień trójlufkę, zrzucam, unikając wywołania szmeru, futro i w trakcie tych czynności przygotowawczych słyszę dalekie szczekanie psa. Nie zwracam na to uwagi, gdyż sygnału umówionego nie było i do momentu puszczenia „Trapa" pozostaje jeszcze kilka minut. Na wszelki wypadek jednak wyciągam rękę po trójlufkę i w tej samej chwili dostrzegam na mgnienie oka kosmate, ciemne cielsko sadzącego przez jałowiec na moje stanowisko dzika. Za moment kryją go jałowce, a ułamek sekundy później jest w następnym susie 5 kroków przede mną. Strzelam z rzutu breneką, dzik utyka przodem w zaspie, unosi się, skacze w bok, po drugim strzale pada w śnieg, farbując silnie. Już nakrył go „Trap", szarpiąc mu z pasją boki. Gdy wsuwam nowe ła-

dunki, dzik, strząsnąwszy szybkim ruchem psa, podrywa się i zataczając się ucieka, szarpany przez psa, co uniemożliwia strzał. Dopadam sań, by przeciąć drogę rannemu dzikowi. Cwałem dopadamy najbliższej linii, dobywając wszystkich sił z kasztana. Sanie skaczą na leśnym bezdrożu jak opętane, kłęby pary buchają z konia, każdy wyrzut sprężystych nóg chłoszcze nam twarze bryzgami lodu i strzępami kopnego śniegu. W mig koń dopadł duktu. Tu na rozszerzeniu drogi leśnej czeka nas niezwykły widok: rozjuszony, obwalany zrumienionym farbą śniegiem dzik, z najeżonymi piórami wściekle błyska świecami, odcinając się psu. „Trap" atakuje zajadle. Dzik wciąż usuwa się mu w ciasnym kółku, niespodzianym zwrotem próbując ciąć napastnika dobrze już wyrośniętymi szablami. Nagłe nasze pojawienie się przerywa tę pełną pierwotnego uroku gonitwę. Odyńczuk jednym susem kryje się w gęstym dębowym zagaju, gdzie w momencie nacierania na psa kładzie go ostatecznie drylingowa kula. Z gwałtownymi wybuchami radości tarmosi drgającego na śniegu zwierza „Trap". Zanim po tropie trafią tu gajowi, nim trąbka rozniesie po lesie miłą sercu melodię, pies i łowca patrzą sobie w oczy w niemym zrozumieniu. Wzrok myśliwego głaszcze mądre zwierzę spojrzeniem pełnym wdzięczności. Dużo bowiem w takich łowach jest szczerej, psiej zasługi. Jak się okazało po wypatroszeniu, dzik pierwszą kulę otrzymał w grzbiet — utkwiła ona nieszkodliwie w cąbrze, druga, wskutek zbyt krótkiego założenia trafiła nisko w miękkie, a dopiero trzecia przebiła obie łopatki, kładąc dzika na miejscu. Przebieg polowania dał obraz niezwykłej żywotności tego odpornego zwierza, bo przy ogromnym spustoszeniu, wywołanym drugą kulą, strzał ten powinien był całkowicie zwierzę unieruchomić.

Spotykane tu i ówdzie na dużej przestrzeni lasów dóbr O. ślady tęgiego odyńca nie dawały



Fot. P. K.

Buchtujący odyniec

spokoju. Toteż, gdy świeży opad śnieżny umożliwił tropienie, ruszyliśmy do lasu. Znaleźliśmy trop, wiodący z pola do zagajnika, w którym dziki chętnie zalegały. Toteż nie tracąc czasu ustawiliśmy się na przesmykach, po czym na świeży trop puszczone zostały psy. Miot okazał się pusty. Odyniec nie zaległ i widocznie zaszył się głębiej, w dalszych rewirach. Nie zdając się więc na przypadek, należało tropić starannie jeden ostęp po drugim, stosując najdalej posuniętą ostrożność, by chytrego odyńca przed obstawieniem miotu myśliwymi, nie ruszyć. Konfiguracja terenu jest tego rodzaju, że lasy ciągną się dość wąskim pasem na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Odyniec wziął kierunek wzdłuż tego pasa, wiążąc głęboko w śnieg wtłoczonymi tropami jeden gąszcz z następnym. Tropiąc bezustannie zapuszczaliśmy się coraz dalej, przy czym zapał do dalszego pościgu u niektórych uczestników tego improwizowanego polowania — malał proporcjonalnie do przebytej przestrzeni. I tak wreszcie, gdy około południa ustaliliśmy obecność długo poszukiwanego odyńca w zagajniku, położonym na granicy lasów, poza nadleśniczym nie było już myśliwych — zniechęceni długim tropieniem rozjechali się do domów — przepadł gdzieś bez śladu jeden pies, pozostał jeszcze leśniczy z drugim psem i gajowy. Jako gość mam do wyboru: stanąć na bardzo dobrym przesmyku, gdzie spotkanie z dzikiem jest niezawodne, lub pójść za psem po tropie. Nęciła mnie emocja obserwowania pracy psa, wyobraźnia podsuwała nadzieję spotkania się z odyńcem w chwili ruszenia go z legowiska lub przytrzymania przez świetnego dzikarza, jakim dysponowaliśmy, trochę też — przyznać się muszę — zmarzłem na saniach i postanowiłem się rozgrzać. „Trap" drżąc z emocji obserwował, jak opatrywaliśmy strzelby, po czym ruszył tropem i zniknął w gęstwinie. W towarzystwie leśniczego, tuż za psem, przedzieramy się przez gąszcz, rwąc naporem ciała plątaninę gałęzi. Opadająca okiść sypie się za kołnierz, do rękawów, kieszeni. Z trudem chronimy lufy przed zasypaniem przez natrętny topniejący puch. Krok za krokiem, ostrożnie stawiając stopy, zdobywamy metr po metrze gęstego zagajnika. Zaledwie posunęliśmy się w głąb, gdy na linii, gdzie został nadleśniczy, pada głuchy, stłumiony przez nawisy śniegowe, kulowy strzał. Oniemiałem. Więc już po wszystkim? Cisza leśna żadnego nie daje wyjaśnienia. Ogarnia mnie wściekłość — na siebie, na los, na cały świat. Więc mając do wyboru między murowanym stanowiskiem a przedzieraniem się niepewnym w gąszczach po tylu dniach trudów i niepowodzeń wypraw na tego odyńca wreszcie . . . jestem naganiaczem. W trakcie tych ponurych rozmyślań wpada mi w uszy dalekie, gwałtowne ujadanie psa, przechodzące w krótkie, urywane szczekanie gonu. Pies urwał, by nagle z nową pasją gdzieś w innym punkcie zagaju na nowo przejść do gwałtownego ujadania. Znów długa, napinająca nerwy przerwa i gon idzie ku nam. Panie, „Trap" trzyma dzika! Niech Pan się spieszy!" szepce mi do ucha leśnik. Brniemy przez gąszcz w kierunku głosu. Kilka kroków przede mną ruszają się gwałtownie jałowce, czasem mignie coś czarnego. Nie ma pewności, czy to odyniec, bo i pies jest ciemnej sierści. „Trap" dostrzegłszy ruch składania się do strzału odskakuje na moment od dzika, by umożliwić strzał. Ten to wykorzystuje i odsadza się znów od niego na kilkadziesiąt kroków, wciąż niewidzialny, a jednak tak bliski, że w nozdrza wpada swoisty, ostry

odór dziczy. Zwierz i pies zataczają w gęstwinie niewidzialne koła. Gdy tylko nadarzy się moment, „Trap“ zręcznie dopada dzika, szarpiąc go ostrymi kłami. Odyniec, sapiąc wściekle, urządza raptowne wypady, rozdając razy szablami. Kilkakrotnie powtarza się manewr osaczania dzika, kilka razy dostajemy się w najbliższe jego sąsiedztwo, nie podobna jednak w tej gęstwi strzelić celnie. Leśnikom ta okazja kilka razy się zdarza; jeden z nich wali z pojedynki na sztych, gdy odyniec idzie prosto na niego. Przedzieramy się wciąż, próbując zbliżyć się na strzał. Dech zapiera szalone zmęczenie, wyczuwane tylko w chwili, gdy opada napięcie po nieudanym manewrze. Porzucone na śniegu rękawice, szal, futro, wiatrówka, czapka i to przy 16° mrozu. Ta gonitwa po gęstwinie za wymykającym się wciąż odyńcem, wściekłe pragnienie spotkania go, ma w sobie coś szaleńczego. Oddech dławi zmęczenie, płuca pracują urywanie, gorączkowo, dymią koszule na spotniałych grzbietach, błyskawicznym decyzjom odpowiada szybkie jak myśl wykonanie.

Leśnicy, pragnąc za wszelką cenę umożliwić mi strzał, napierają wraz z psem na odyńca, by zbliżyć go do mnie. Czasem padnie strzał, gdy zwierz uprzykrzywszy sobie napór ludzi, nagłym pragnie ich przerazić wypadem. Na tropie dzika farba, farbuje również dzielny pies, cięty szablą rozwścieczonego dzika. Raz go dostrzegłem, gdy sadził za psem, na mgnienie oka. Strzelić nie zdążyłem. Ale wraził mi się głęboko w pamięć widok tego rycerskiego zwierza, który jedyny z dzikich mieszkańców pomorskiej kniei nie tylko bronić się umie, ale i nacierać. W zapadającym zmroku przemknął prawie bezszelestnie czarny, potworny cień, błysnęły odchylone sierpy szabel, z trzaskiem rozdarł się zwarty wał gałęzi, rozcięty żywym klinem. Zniknął. Wchłonął go las, zakrywając przed drapieżnością ludzką płaszczem nocy. Trudne z nim spotkanie, bo potrafi przechytrzyć człowieka. Kiedy ponowa wybieli las, głęboki trop tego zwierza samotnika dowodzi niezbicie, że nie jest on legendą.

Józef Wysocki



Fot. E. Kossecki

Jeleń rokujący przyszłość

O KOTACH SZKODNIKACH ŁOWIECKICH

Każdemu myśliwemu znany jest widok wałęsających się po lasach i polach kotów domowych, nie każdy widzi w nich to, czym właściwie są dla drobniejszej łownej zwierzyny użytecznej oraz ptaków.

Iluż to myśliwych nie strzela do kotów w mniemaniu, że przyczyni się chlubnie do ochrony tego tak pożytecznego, tylko myszy łowiącego, zwierzątka domowego; a ilu znowuż myśliwych nie strzela do spotkanego w łowisku kota z obawy wypłoszenia kozła, na którego czatuje.

Każdy kot, chociaż tak przytulnie przymila się i ociera o nogi domowników, lub zadowolony mruczy za piecem, jest groźnym wrogiem dla ptaków oraz ssaków do zająca włącznie.

Kot z natury jest drapieżnikiem, a żaden z nich nie wyprze się wrodzonych mu instynktów przy pierwszej nadarzającej się sposobności. A okazyj takich nie brak nigdy. Zaczyna się zazwyczaj wycieczką do ogrodu, później wędrówkami raz krótszymi, to znów dłuższymi na najbliższe pola i tak coraz dalej, aż nareszcie kotkowi pole milszym się staje od ciepłego zapiecka.

Niejeden obserwator kota, myszkującego w polu, cieszy się niepomiernie, że kot niszczy w polu tyle szkodliwych rolnictwu gryzoniów i powątpiewa, czy zarzuty stawiane kotom są uzasadnione; nie zastanawia się jednak nad tym, co ten sam, pilnie w polu myszkujący kot, zrobi z lęgiem młodych bażantów lub młodym zajączkom, na które przypadkowo trafił, szukając tylko za myszkami. Rzecz pewna, że po chwili zostają jedynie piórka lub trochę turzycy itp. resztki, dające wymowne świadectwo o tragedii, która się co dopiero rozegrała.

Dla tych właśnie powodów winno być kotów, wałęsających się po polach, jak najmniej i to, nawet w latach, obfitujących w myszy.

Przypuszczenie, jakoby kot domowy był skutecznym sojusznikiem rolnika w walce z szkodliwymi rolnictwu myszami, jest błędne.

Istnieją bowiem łowiska, w których nie ma w ogóle kotów wałęsających się, a zatem w tych rewirach musiałaby ilość myszy dojść do niepomiernie wielkich rozmiarów, równająca się klęsce, która zniszczyłaby doszczętnie plony. Ale tak nie jest!

Ilość żyjących myszy w tych łowiskach, ubogich w koty, nie jest bynajmniej większą od ilości tych gryzoniów tam, gdzie koty wałęsają się po polach.

Koty domowe nie są w stanie zapobiec powstaniu masówki mysiej, a cóż dopiero zlikwidować ją po wybuchu; gdyby bowiem tak było, to koty, w latach nieobfitujących w myszy, wytępiłyby je doszczętnie, likwidując tym samym cały ród mysi. To kotom się nie udaje, tak samo jak są bezsilne wobec szerzącej się „masówki mysiej“. Myszy

mnożą się do nieskończoności i mnożyłyby się, że tak powiem, „na złość" wszystkim kotom, gdyby nie położyła temu kres sama przyroda przez epidemię itp. A resztka myszy, która szczęśliwie przetrwa epidemię, zaledwie starczy dla zwierząt, żywiących się również po części myszami, jak np. dla myszołowów, sów, łasic i innych zwierząt.

Niewielu myśliwych zdaje sobie sprawę, ile mniej więcej kotów wałęsa się po ich łowisku, a skoro przypuszczają, że liczbę tę w przybliżeniu znają, to dobrze zrobią, mnożąc ilość tę w dwójalbo trójnasób, a wówczas liczba wałęsających się kotów będzie zbliżona do rzeczywistości. Myśliwi po części postępują błędnie, określając ilość kotów na podstawie zaobserwowanych osobników po rozpoczęciu się sezonu na kuropatwy. Zdarza się często, że o tej porze roku łowca nie ujrzy ani jednego kota w rewirze.







Fot. dr J. Szuman

„...jeden dobry chwyt..."

Najodpowiedniejszą porą, w której można obserwować największą ilość kotów wałęsających się w łowisku, to wiosna — kwiecień, maj, względnie wczesne lato, tj. właśnie w porze, która jest najważniejszym okresem dla hodowli i ochrony zwierząt łownych.

Starczy zasiąść wiosną względnie latem rano o brzasku lub wieczorem po zachodzie słońca niedaleko osiedla, by zobaczyć, jak wielka ilość kotów wychodzi na pole, względnie wraca po nocnych łowach. Najlepsza wówczas okazja do zdziesiątkowania tego szkodnika za pomocą strzelby; a w wypadku, gdyby na tego rodzaju polowania niechętnie patrzeli nasi poczciwi kmiotkowie, zbudzeni ze snu strzałami, to inny istnieje środek, by ukrócić plagę tę bez hałasu i huku. Nieocenione wprost usługi oddaje myśliwemu w takich wypadkach cięty wyżeł, który z biegiem czasu nabędzie nadzwyczajnej wprost wprawy w wyszukiwaniu kotów. A gdy wpadnie na trop i dogoni, jeden dobry chwyt i bez hałasu zakończył życie jeden niebezpieczny rabuś łowiska. A poczciwa gosposia dziwi się, że jej myszyłownej „kici" nie ma; może wróci jutro, a może jeszcze dziś? Niech wierzy!

Również cięty jamnik może być pomocnym w tępieniu kotów. Polując z jamnikiem na koty trzeba zazwyczaj użyć broni, gdyż jamnik na krótkich swych i krzywych nóżkach, nie dogoni zazwyczaj szybszego od siebie kota; kot uchodzi na najbliższe drzewo, skąd go nietrudno zestrzelić. Dla młodego jamnika tego rodzaju polowanie jest dobrą szkołą, wyrabiającą w nim ciętość.

Celem uchronienia się od tego, by kot wychodził w pole miast pilnować i łowić myszy w domu, podcinają niektórzy kotom uszy. (Jest to wprawdzie środek tzw „babski", ale być może bardzo skuteczny, wszak „nic bez przyczyny"). Kot bowiem jest zwierzęciem, nie lubiącym wilgoci i unikającym wody. Podczas łowów musi przechodzić nieraz przez wysokie trawy, lub gęste koniczyny zazwyczaj wilgotne od rosy.

Sterczące w normalnych warunkach uszy zabezpieczone są od dostania się do nich wody przez zakończenie małżowin i włosów; do uszu podciętych natomiast łatwo kapnie z traw rosa, czego koty ogromnie nie lubią. (Nie ręczę jednak, że obcięcie uszu jest niezawodnym środkiem przeciwko wałęsaniu się kotów po polach).

Jak już uprzednio wspomniałem wiosną najskuteczniej przeciwdziałać inwazji kotów do łowiska. Z końcem lata i z początkiem jesieni znikają one stopniowo z pól. Od września, października począwszy należą koty na polach nawet do rzadkości.

Czemu to przypisać? Czy nie zależy im więcej na myszach?

Pola późnym latem i jesienią tracą w wielkiej mierze swą siłę przyciągającą dla kotów tak, że mimowoli nasuwa się przypuszczenie, że koty nie

dla myszy odwiedzają pola, lecz jedynie niedołężne pisklątka kuropatw i innych ptaków, gnieżdżących się na ziemi, oraz młode zajączki są tym magnesem, który pociąga koty i budzi u drapieżników tych krwiożerczy ich instynkt.

Możemy rozróżnić wśród kotów — włóczęgów trzy rodzaje.

Pierwszym gatunkiem to ten, który codziennie wychodząc wieczorem w pole wraca nad ranem do ciepłego zapiecka; następnie to te koty, które pozostają dłuższy czas na polach i wracają do osad ludzkich dopiero jesienią, tj. wówczas, gdy i pola pustoszeją. A trzecia kategoria to najgorsza; są to koty, które do osad w ogóle nie wracają, bądź to dlatego, że w polu im lepiej bądź też dlatego, że urodziły się w polu lub lesie.

Ostatnio wymieniona kategoria kotów jest prawdziwym biczem zwierząt łownych. Koty te przyjmują zupełnie zwyczaje żbików, w niczym nie ustępując im krwiożerczością i przebiegłością. Rabują one wszystko co mogą przezwyciężyć, bażanty, zające, a nawet młode sarenki.

Kota zdziczałego, o ile posiada ubarwienie podobne do żbika, co się bardzo często zdarza, trudno odróżnić od tego ostatniego. Nierzadko też toczą się spory na temat, czy ubity kot jest prawdziwym żbikiem, czy też tylko kotem zdziczałym, wyrosłym na wolności, względnie potomkiem żbika i kota domowego. Krzyżowanie tych ostatnich bardzo często się zdarza i to przypuszczalnie w większej ilości wypadków żbika z kotem domowym — samicą.

Niektórzy zoologowie chcą odróżnić żbika po czarnej okrągłej plamie pod podeszwą. Choć plama taka ułatwić może w znacznej mierze rozpoznawanie żbika od kota zdziczałego, to jednak nie będzie ona nigdy wskaźnikiem zupełnie pewnym, bo i tak zaobserwowano istnienie tej plamy u wszystkich nieomal kotów, pochodzących z krzyżówki żbika z kotem domowym.

Koty, u których istnieje plama podeszwowa, nie koniecznie muszą pochodzić z bezpośredniej krzyżówki, lecz istnienie plamy może być wypływem poprzedniej domieszki krwi żbików (kilka pokoleń wstecz).

By bezapelacyjnie dobrze móc rozróżnić żbika od zdziczałego kota domowego, trzeba dużo wprawy i być specjalistą. Zasadniczo trzeba zwrócić uwagę na budowę całego korpusu, który jest zwięzły i grubszy oraz na ogon, u żbika krótszy i grubszy, nie zwężający się ku końcowi.



Malował Buddenberg

Kot — kłusownik

Reasumując wszystko, należy stwierdzić, że koty nie należą do łowiska. Kto spostrzeże kota w polu i nie stara się go unieszkodliwić, ten działa krótkowzrocznie i niczym postępowania swego nie może usprawiedliwić wobec prawideł hodowlano-łowieckich.

Kto więc chce skorzystać dla dobra łowiska i zwierzyny z wskazówek, w powyższym artykule zawartych, ten niech nie czeka do czasu rozpoczęcia się polowań na kozła i kury, lecz już wcześniej, w marcu i kwietniu często dogląda i pilnie obserwuje swe łowiska, a przekona się o prawdziwości moich wywodów.

Dr inż. Leon Ossowski

TAKIE TO JEST ŻYCIE

Urodził się we wspaniałej, wygodnej jamie, na skraju lasu. Spośród całego miotu był największy, najsilniejszy. Kiedy matka wracała z polowania on pierwszy dobierał się z cichym skomleniem i piskiem do napuchłych wymion. Roztrącał bez pardonu braci i siostry, byle tylko sam miał mleka pod dostatkiem. Wreszcie, gdy się już ząbki tak wyostrzyły, że zaczęły ranić sutki, matka zaczęła przynosić młodym różne przysmaki, jak myszy upolowane, gąski i kaczki wykradane z pobliskich chałup, czasem młody zajączek lub kuropatwa zmieniała menu lisiego stołu.

A co było wrzasku, kiedy matka, niosąc w pysku upolowaną zwierzynę przybywała przed jamę. Z nieudolnym szczekaniem rzucała się lisia gromadka na żer, lecz „Przebiegły“ zawsze najlepsze dostawał kąski, dopiero gdy brzuszek jego był tak napchany, że wlókł się wprost po ziemi, wówczas pozwalał najeść się swym braciom i siostrom a sam, zwinąwszy się w kłębek, wygrzewał się na słońcu, podczas gdy matka czujnie baczyła by jaki nieprzyjaciel nie podkradł się do młodych.

Czasem, gdy mysz przyniesiona w pysku matki jeszcze żyła, wówczas bawił się nią, to puszczał,

to znów chwytał w swe ostre ząbki, by ją z powrotem puścić. Nieraz mu uciekała, wówczas siadał zadumany przy wejściu do jamy i zastanawiał się nad dzisiejszym niepowodzeniem, którego przyczyny nie mógł dociec.

Pewnego jednak dnia matka nie wróciła z polowania. Długo skomlały młode liski, wołając matki. Niestety nie wiedziały, że matka, szukając żeru dla swych małych, dostała się do bażantarni i tam znalazła śmierć.



Fot. P. K.

Daniel — śpiczak

„Przebiegły" czuł przez całą noc przejmujący głód we wnętrznościach. Nad ranem, gdy jeszcze mgły rozpościerały się nad całym światem, gdy rosy perliły się drogimi kamieniami na każdym źdźble trawy „Przebiegły" wyszedł przed jamę, rozglądając się za jakimś pożywieniem. Wczoraj wieczorem jeszcze obgryzł wszystkie kosteczki rozrzucone koło jamy, dziś już nic nie znalazł. Postanowił zaryzykować i ruszył na polowanie zostawiając swoje rodzeństwo w jamie. O nic się nie troszczył.

Las otulony tumanami mgły, drzemał jeszcze, czasem tylko spadająca z sosny szyszka wywoływała uczucie strachu w niedowierzającym „Przebiegłym". Szedł skradając się, obwąchując każdy niemal przedmiot, napotkany po drodze. Mysz przebiegła mu drogę, rzucił się za nią lecz mu umknęła. Siadł i swoim zwyczajem zadumał się.

Wtem opodal coś zaszeleściło. Skurczył się cały, wtulił pomiędzy trawy i krzaki, niewidoczny czatował po raz pierwszy w życiu na zdobycz. Raptem zwinna baletnica naszych lasów wiewiórka wyskoczyła zza drzewa i szukając szyszek, w podskokach zbliżała się do niego. Natężył się cały, wzrok stał się aż mglisty od zapatrzenia i gdy wiewiórka znalazła się tuż koło niego, skoczył. Krótka walka, parę prychnięć wiewiórki i już taszczył „Przebiegły" swą pierwszą zdobycz pod krzak jałowca, gdzie ją spożył. Wreszcie znużony wyczekiwaniem i emocją, zmęczony poprzednim głodem zasnął. Kiedy się obudził słońce potężnie już grzało. Poczuł pragnienie. Szedł długi czas, aż przybył nad wody leśnego strumyka. Tu zobaczył siebie w lustrzanej tafli potoku. W pierwszej chwili był pewny, że ma przed sobą drugiego lisa, lecz wkrótce się przekonał, że widzi swoją własną odbitkę w wodzie. W wodzie tej zobaczył się po raz pierwszy, a było się czemu przyglądać. Wspaniale rozwinięty, futro jeszcze nieładne, ale połyskująco rude, spód jak śnieg biały, sterczący, o krótkim włosie ogon, zdobił tę urodziwą i przemyślną latorośl rodzaju lisiego.

Pod wieczór upolował jeszcze parę myszy, jakoś dobrze mu się powodziło jak na pierwszy dzień samodzielnych łowów. Polował z całym oddaniem się, byle tylko nie być głodnym. Wreszcie, gdy już mrok zaczął ziemię brać pod swe panowanie, „Przebiegły" zmęczony długim błądzeniem i szukaniem swojej jamy, której nie znalazł, zwinąwszy się w kłębek, usnął na posłaniu z mchów i traw. Dzień ten, pierwszy jaki spędził samodzielnie, gdy musiał sam szukać dla siebie pożywienia, dał mu moc wrażeń, wiele przeżyć, które nauczyły go wcześniej chytrości, przezorności i wytrwałości. I tak płynęło mu życie spokojne, choć twarde z dnia na dzień. I z dniem każdym nabierał siły, coraz więcej uczył się cierpliwości na polowaniu, coraz więcej zdobywał doświadczenia.

Tak szło do pewnego dnia. A było to, kiedy kopanie kartofli odbywało się już w całej pełni, kiedy przejmujący chłód dobierał się nawet poprzez gęstniejące futro do lisiej skóry, kiedy dniami całymi niebo otwarłszy swe tamy, wylewało strugi zimnej wody. „Przebiegły" wolno sznurował przez las. Jak zwykle, szukał polnych myszy. Wtem twór jakiś dziwny, wysoki, na dwóch nogach ukazał się biednemu naszemu liskowi. Po raz pierwszy w swym życiu zobaczył człowieka. Ale kiedy przerażający huk odbił się echem o ściany boru, „Przebiegły" odczuł dziwnie palący ból w swym zadzie. Zwinął jednak ogon pod siebie i co miał siły zaczął uciekać. Dopadł wreszcie zmęczony, obolały jakiejś jamy. Na szczęście zastał ją pustą. Zaczął lizać swe rany i to mu przyniosło ulgę. Noc całą tak przeleżał, nad ranem jednak, głodem dręczony, wyszedł na polowanie. Wolno ciągnął, myszkując wszędzie. Parę myszy, dwie sikorki, cóż to znaczy dla apetytu takiego, jaki dziś „Przebiegły" odczuwa. Ale bał się iść w pole, gdzie psy prędzej zobaczą i zaczną gonić, a dziś nie miał siły uciekać. Zwykle nic sobie z kundlów wiejskich nie robił, ale dziś — ranny — wiedział, że nie da rady zmykać. Toteż głodny położył się znowu w jamie, skąd wychodził tylko by zaspokoić choć trochę głód i pragnienie.

Tak było przez tydzień. Wreszcie rany się zagoiły, mógł więc prowadzić dalej swe wędrówki do pobliskich kurników, mógł znowu polować na szybkonogie zające. Pewnego dnia ziemia pokryła się białym całunem. Aż oczy mrużył „Przebiegły" od bieli połyskującego śniegu. Lecz razem ze śniegiem nastały złe czasy dla naszego lisa. Coraz częściej owo pokraczne indywiduum — człowiek — urządzało jakieś hałasy, pochody po lesie, coraz trudniej było o pożywienie. Już parę razy słyszał „Przebiegły" strzał i czuł śruciny, zawsze jednak zdołał z życiem wynieść się z huczącego piekła polowań.

Gdy na świecie miało się ku wiośnie, poczuł „Przebiegły" brak towarzyszki. Długo błądził po lesie. Szukał samiczki. Inne lisy witały go warcze-

niem, czasem pogryzły go, a on niesiony na skrzydłach potężnego prawa natury czuł w sobie ogromne pragnienie, zew odmiennej płci. Aż po długich szukaniach doleciał go zapach lisicy z mieszczącego się opodal otworu jamy. Niestety zastał tu liczniejsze towarzystwo. Wprawdzie była i suka, ale obok niej kręciły się już dwa psy. Musiał stoczyć walkę. Rwał kłaki zębami, sam też porządnie oberwał, kawałek ucha ledwo się trzymał, ale ostatecznie został zwycięzcą. Teraz zbliżył się do swej wybranki, która czekała z utęsknieniem na zwycięzcę. Z początku nie dała do siebie przystąpić, ot tak dla zabawy, zwyczajnie jak płeć piękna w ogóle, potem jednak cóż za uciecha była! Harce i gonitwy odbywały się przez całe noce i dnie. „Przebiegły" opuszczał swą towarzyszkę tylko wtedy, gdy był głodny. A chudy był teraz i mizerny, włos zaczął linieć, miejscami świeciła goła skóra, widome znaki ubiegania się o wdzięki płci pięknej.

Aż tu pewnego dnia, gdy szedł jak zwykle na polowanie, spotkał człowieka. Gajowy od dłuższego czasu tropił złodzieja kur i kaczek. Dziś spotkał się z nim wreszcie i dobrał się do jego skóry. Padł strzał. „Przebiegły", podrzucony jakąś niewidzialną siłą, padł na posłanie z mchu martwy, z wywieszonym jęzorem. Drgnął parę razy nóżkami, kiwnął kitą i zakończył swój żywot. Żył krótko, polował, spełnił swoje posłannictwo w naturze, przyczynił się bowiem do utrzymania swego gatunku, i padł od strzału „pana przyrody" człowieka.

Takie to było życie naszego „Przebiegłego", takie jest i będzie życie wielu stworzeń.

Mieczysław Mniszek-Tchorznicki

PUSTE KONEWKI

Człowiek pierwotny żył na łonie przyrody i od niej całkowicie byt jego był uzależniony. Przyczyny wielu zjawisk i otaczających go sił, z którymi walczyć musiał, były mu nieznane. Nie umiejąc ich tłumaczyć, czuł przed nimi lęk, często je z bóstwem utożsamiał i czcił jako przejawy tajemnych sił wyższych, — a dla zjednania sobie ich przychylności składał im ofiary, stosował modły, zaklęcia, amulety, fetysze . . .

Wraz z atawistyczną miłością przyrody i łowów myśliwi dzisiejsi przejęli dużo romantycznego mistycyzmu człowieka pierwotnego. Jest bowiem właściwością duszy człowieczej, że w zetknięciu z przyrodą, potęgą jej żywiołów i czarem jej piękna, wznosi się ku celom wyższym, bada zagadki bytu — i szlachetnieje w tęsknocie za czymś lepszym i skłania się ku głębokim refleksjom, które nie są udziałem zwykłych zjadaczy chleba. Dlatego też myśliwi nieoperujący wyłącznie względami lukratywnymi w tak zmaterializowanym świecie obecnym, słusznie zaliczają się do duchowo wyższej hierarchii społecznej.

Zdawałoby się, że w dobie kultury i oświecenia na wiarę w zły omen — nie ma miejsca. Tymczasem jest inaczej. Właśnie świat myśliwski z przyczyn wyżej wymienionych podatny jest dla przeróżnych przesądów i wierzeń i przesiąknięty jest skłonnością ulegania im. Osobiście jak . . . każdy myśliwy nie przywiązuję do nich wagi, nie mniej wielokrotne zdarzenia w praktyce łowieckiej nie dadzą mi się wytłumaczyć jedynie zrządzeniem przypadku i w uprzykrzony sposób domagają się mniemania, że jednak „coś" na rzeczy jest w tych wszystkich znanych i tradycją wielu lat uświęconych prognostykach myśliwskich!

Któż z nas tych lat niepomny, gdy młode pacholę, wesoło pogwizdując szedł z strzelbą przez pole! Był cudowny choć nieco mroźny świt grudniowy. Nie całkiem z wiedzą ojca porwałem lefoszówkę, by spróbować kaczek na odparzeliskach stawu. Wymknąłem się po cichu z domu, ale gdym uszedł ze sto kroków spostrzegłem, że naboje pozostały w szufladzie. Zły wróciłem — czując, że to niedobra przepowiednia . . . Czając się, lisim krokiem posuwałem się brzeżkiem stawu, porośniętego zrzadka szuwarem i pokrytego mokrym ani nietającym ani niemarznącym śniegiem. Staw był duży choć niezbyt głęboki i miał kształt podkowy. Serce tłukło mi z emocji z taką siłą, że niemal dziś jeszcze czuję jego łomot. Nagle z hałasem poderwał się kaczor. Strzeliłem na oślep. Spadł przy



Fot. R. Krzywoń

Łowisko górskie

samym brzegu. Dostałem go łatwo i napatrzywszy się jego pięknej szacie, z dumą położyłem na wysokim brzegu pod krzaczkiem. Już o wiele spokojniejszy podążyłem dalej. Przy końcu drugiego ramienia podkowy, zerwały się znów trzy kaczki. Strzeliłem do dwóch — ku mej niezmiernej radości obie spadły. Anim przypuszczał, żem taki strzelec. Ale teraz powstała kwestia: jak je tu podjąć? Trudna rada, zdjąłem buty i zawinąwszy spodnie próbuje wejść w wodę. Zimno — trudno wytrzymać. Ale po kilku próbach nogi się przyzwyczaiły. Po trzech krokach okazuje się, że jest za głęboko. Wychodze na brzeg i zdejmuje więc spodnie z przynależnościami. Lecz i to za mało, podnosząc w górę zmoczyłem sobie koszulę. Wracam znów na brzeg. Co tu robić, kaczek szkoda — rozbieram się do naga. Woda po pachy, ale jakoś wytrzymuję zimno. Szukam pospiesznie pierwszej — nie ma, drugiej — nie ma. Dłużej wytrzymać w tym mokrym śniegu niesposób. Rezygnuję, wracam, piorunem ubieram się szczękając zębami i czując, że popełniłem szaleństwo. Wschodzace słońce świeci grudniową pożogą. Nagle widzę: brzegiem przeciwległym o jakie dwieściepięćdziesiąt kroków sznuruje od wsi lis. Słońce mam za sobą, biegnie jakiś smutny z pyskiem przy ziemi — widzę go jak na dłoni. Pierwsza myśl: może się da zejść. Łapię za strzelbę. Wtem przed krzaczkiem lis stanął, wystawił jak pies, wyprężył się jak z bronzu wykuty. Choć piękny to był widok, dopiero wtedy tknęło mnie złe przeczucie . . . Jak grom runął rabuś w krzak, porwał mego kaczora i tylko kitą w mą stronę zamachnął. Z rozpaczy strzeliłem odruchowo w powietrze. Szukałem potem długo na śladzie, że może po strzale gdzie mego ślicznego kaczorka uronił — na próżno! Smutny, ba przybity docna wracałem do domu. Już byłem niedaleko, gdy nagle słyszę z tyłu głos pana w pikielhaubie, który uzurpując sobie styl dra Ossowskiego powiada: A jak tam panie Janie z kartą na broń!? Przy pomocy ojca udało się jakoś ten incydent jednak pomyślnie zlikwidować. Mówiąc delikatnie, ojciec zburczał mnie dobrze . . . Każdy nieuprzedzony przyzna jednak, że taki konglomerat nieszczęść zdarzyć się może tylko wtedy — gdy człek wróci się po zapomniane naboje. Ale po tej zimowej kąpieli nawet kataru nie miałem.

Lipcowe południe — opustoszały pola. Ludzie pokryli się w opłotkach wsi, bydło zgonione do stajen. Na rozległych łanach zapanowała cisza i spokój, przesiąknięte sennym skwarem. Tu i ówdzie zafalowało jeno morze wyzłacanych pszenic i posrebrzanych żyt. Był to najdogodniejszy moment do poszukania kaczek żerujących na błotnych mokradłach i łączkach, które waskimi smugami wiły się jak wstęgi wśród uprawnych pól. Szedłem cicho uważnie wnikając wymijane szuwary, gdy z zakrętu spostrzegłem w dali jakiś biały punkt wśród przybrzeżnych traw. Gdym się zbliżył z niemałą radością rozeznałem, że była to śliczna, różowa Hania, która uzbierawszy trawy dla krów właśnie zawiązywała ją w płachtę. Bezmierne słońce zalewało świat, ale o ileż cudowniejsze blaski błyszczały w zastraszonym spojrzeniu dziewczyny. Napróżno tłumaczyłem jej, bardzo aktualną potrzebę pokazania mi kolanka. Długo nie chciała mieć żadnego zrozumienia dla świętych tradycyj łowieckich. Ale jakoś św. Hubert i okoliczności pomogły mi. Gdy rozstawaliśmy się płonęła jej twarz szkarłatem i takie koralowe miała wargi . . . Tęsknie patrzyłem za nią, gdy szła ku wsi. Przypomniawszy sobie polowanie, postąpiłem może ze sto kroków, gdy nagle stanąłem jak wryty: przede mną sarna spokojnie piła wodę. Głowa wśród turzyc, koza to czy rogacz!? Jak żyję rogacza nie widziałem jeszcze na wolności i w tych polach nigdy nie bywałem. Wtem podnosi głowę. Widzę wspaniałe rożki i strzelam bez namysłu. Mój pierwszy szóstak zakręcił się w miejscu, próbował dać potężnego susa, lecz załamał się, zwinął i runął w skurczach na grzbiet. Niech kto chce, mówi co chce, ale musi być jakiś mistyczny związek między dziewczęcym kolankiem a powodzeniem myśliwskim. W kilka lat później drużbowałem Haneczce — lecz smutny był los jej krótkiego życia...

Styczniowy mróz i zamieć śnieżna nie bardzo sprzyjała polowaniu w owym roku. Ale potrzeba było zająca, zresztą i w taką porę dobrze zapięty, lubiłem znaleźć się wśród zaspami śnieżnymi pokrytych dalekich obszarów. Ogromna samotność upaja — niemal dzwoni w uszach, a poczucie zupełnego oderwania od sadyb i ludzi ma swoisty i kojący urok. W bezbrzeżnej przestrzeni przymglonej śnieżnym puchem człowiek czuje wielkość przyrody a małość swych spraw i trosk. Zadymka, mróz, poczucie ryzyka — przywraca prężność jego nerwom i przysparza mu energii do walki z czadem codziennych kłopotów. Więc biorę strzelbę i wychodzę. Wtem przecina mi drogę kobieta idąca po wodę z pustymi konewkami. Z pogardą odrzucam nasuwające mi się przesądne myśli, choć jestem zły z tego spotkania . . . Ze dwie godziny naprόżno nautykałem się po orkach i wertepach. Ani złamanego ogona. Wreszcie doszedłem do rzeki. Trzeba przeprawić się przez ławę, więc zgrabiałą ręką wyjmuję ładunki. Ale na drugiej stronie mam takie pewne miejsce, gdzie bezwzględnie zając być musi! Rzeczywiście, wyskakuje na dogodną odległość. Składam się — psztyk. W tym momencie wyjeżdża drugi spod nóg. Więc uważnie, i znów — psztyk. Co to, dwa nie wypały? Otwieram fuzję — nienabita!! Ostatnie wyrazy powtarzam po kilka razy. Tylem się nachodził — niewiadomo czy śmiać się czy kląć, bo sam sobie jestem wszak winien. Wracam polami. Rusza wreszcie zając, ale daleko. Strzał niemożliwy. Sadzi ku drodze, którą jedzie sznur fur z drzewem. Więc staje słupka i zawraca. Defiluje przede mną na jakie siedemdziesiąt kroków. Zakładam dobrze i strzelam. Rozlega się jakiś dziwnie potężny huk; w oszołomieniu spostrzegam, że pozostała mi w ręku tylko kolba. W śniegu na pasie tkwi lufa, lewą rękę mam osmaloną i skaleczoną, na twarzy sadze. Zając w pole zdrów leci wśród śnieżystej zamieci. Podnoszę lufę i widzę, że strzelałem wprawdzie z prawki ale i w lewce jest łuska wystrzelona. Okazuje się, że wysuwacza w lufach nie było i w tej luce pierwszy strzał rozdarł łuskę i spowodo-

wał wypał drugiego naboju. Łączna eksplozja rozerwała mi w ręku strzelbę i — Bógł strzegł — że na tym się skończyło. Ale reasumując wszystkie te zdarzenia podejrzewam, że w całym tym fatalnym polowaniu palce maczała ta niewiasta z pustymi konewkami.

Raz zaproszono mnie na wielkie polowanie. Pyszne łowy, 200 ładunków taszczę w plecaku. Jeszcze ciemno a już auto według umowy trąbi przed bramą. Wypadam na korytarz i staję oko w oko ze starą babą, która w dodatku mówi: Dzień dobry, życzę panu szczęścia! Ażeby cię pokręciło, coś tam bąkam — i jestem wściekły! Jadę jednak bo co zrobić — wkrótce zapominam o tym, bo przecież nie wierzę w gusła i czary. A jednak jest faktem, że na tym polowaniu w warunkach absolutnie niewytłumaczalnych wpakowałem chłopcu z nagonki jeden śrut w policzek, co kosztowało mnie równe 100 złotych, a do tego jeszcze zarobił nieco dr Podskoczil. Zdarzyło mi sie to wtedy pierwszy i — jak dotąd — ostatni raz. Zawszem w skrytości ducha przed polowaniem wzdychał na intencję szczęśliwego jego przebiegu. Dziś jestem ubezpieczony i połowę tych westchnień pozostawiam P. T. Dyrektorowi Ubezpieczeń.

Jeżeli to ostatnie zdarzenie i wspomnienia własnych przeżyć będą dla niedowiarków jeszcze nieprzekonywujące, że jednak jest „coś“ w naszych kochanych przesądach myśliwskich, to nie pozostaje mi nic inego jak wyłuszczyć w tym przedmiocie istotne me credo, które możnaby wydedukować przez analogię z powiedzenia: Sen mara, Bóg wiara, a jeszcze lepiej ze znanego przysłowia: W nic nie wierz — tylko dobrze zmierz! Lecz jak nie ma prawego myśliwego, który by (przynajmniej do pewnego wieku) nie wierzył w skuteczność białego kolanka, tak też nie znam takiego, który by specjalnie lubił przed polowaniem potknąć się na progu, wrócić się, przyjmować „serdeczne“ życzenia przechodniów, wyminąć zakonnicę, starą babę względnie czarnego kota — lub natknąć się na puste konewki.

Dr Jan Podgórny

MOŻLIWOŚCI ŁOWIECKIE ZIEM WSCHODNICH*

W pierwszej części niniejszego szkicu pozwoliłem sobie w zarysach jak najbardziej ogólnych przedstawić tło i możliwości myśliwskie naszych ziem północno-wschodnich. W szczególności starałem się wykazać, że jeżeli o grubszą zwierzynę chodzi, legenda o wielkiej „pojemności“ tych ziem dla średnich nawet apetytów myśliwskich jest w dużej mierze tylko legendą. W zwiazku z tym podkreśliłem fakt, że nasze „dzikie“ kresy zaczynają się stopniowo „cywilizować“ i że ilość oaz hodowlano-łowieckich rośnie tam z roku na rok. W części niniejszej — drugiej i ostatniej — pragnę tezy moje rozwinąć bardziej szczegółowo i przy tym taksatywnie co do typowych przedstawicieli kresowej fauny łowieckiej, bym przez kolegów-myśliwych nie został pomówiony o nieścisłość lub ogólnikowość.

Rozpatrując poszczególne typy zwierzyny, biorę za punkt wyjścia klasyfikację jej według śp. prezesa Świętorzeckiego („Podstawy łowiectwa“ str. 125). A więc w województwach północno-wschodnich występują: ze zwierzyny „najgrubszej“ — niedźwiedź, łoś i ryś; ze zwierzyny „grubej“ — wilk, dzik, jeleń, bóbr i głuszec; ze zwierzyny „wysokołownej“ — lis, rogacz, cietrzew, pardwa, jarząbek; ze zwierzyny „łownej“ — szarak, bielak, kaczka, dubelt, kszyk i i. (Zaznaczę w nawiasie, że klasyfikacji B. Świętorzeckiego nie uważam za nieomylną i powszechną; sądzę, że jest jednak bardo ciekawa, zwłaszcza z punktu widzenia rasowego myśliwego kresowego; nie będę się spierał, że w innych regionach Polski klasyfikacja ta wymagałaby zapewne poprawek.).

1. N i e d ź w i e d ź nie może na razie wchodzić w rachubę, jako obiekt polowania, chociaż występuje sporadycznie nie tylko w Białowieży, gdzie, jak wiemy, czynione są obecnie próby reaklimatyzacyjne, lecz również w lasach krzywoszyńskich i agarkowskich na Polesiu. Jednak przy najbardziej sprzyjających koniunkturach dużo lat upłynie, zanim będziemy mówili o polowaniu na niedźwiedzie „litewskie“, jako o funkcji normalnej.

2. Ł o ś, jak wiadomo, rozmnożył się — w porównaniu ze stanem bezpośrednio powojennym — wprost wspaniale. Toteż rok rocznie w Ordynacji Dawidgródeckiej, w Puszczy Rudnickiej i jeszcze w paru innych łowiskach odbywa się odstrzał łosi. Odstrzał ten dostępny jest jednak bądź dla szczególnie uprzywilejowanych, bądź bardzo zamożnych myśliwych. Toteż o normalnym tj. dostępnym dla szerszej rzeszy myśliwców polowaniu na łosie byłoby przedwcześnie mówić w chwili obecnej.



Fot. P. K.

Łania w kąpielisku

3. R y ś — przedmiot nieziszczalnych marzeń przeciętnego myśliwego — należy do zwierzyny rzadkiej, czego dowodem chociażby 10-miesięczna

* Zob. „Myśliwy“ nr 1 z br. (styczeń).

ochrona przysługująca mu, mimo przysłowiowej krwiożerczości tego „lamparta (?) północy“. Już z tego jednego względu nie może być ryś zaliczony do normalnych obiektów polowania. Prócz Puszczy Białowieskiej, gdzie rysie są ze względów reprezentacyjnych „na ewidencji“, nie ma chyba na Wschodzie łowiska, gdzieby polowanie na rysie było pewne. (Zdaję sobie sprawę z faktu, że tzw. „pewność“ na polowaniu jest zawsze rzeczą dość względną — i to bodaj że w odniesieniu do każdej zwierzyny. Mam tu jednak na myśli pewność „minimalną“).

4. Wilk. Jeżeli usuniemy z naszych rozważań „przesłanki“ zaczerpnięte z lektury pism codziennych, to dojdziemy do wniosku, że zarówno „plaga wilków“ nie istnieje, jak i — że ilość wilków na kresach jest o wiele mniejsza, niż to sobie wyobrażamy. Nie posiadając niestety statystyki ubitych wilków,[1] mogę jednak z grubsza zaryzykować twierdzenie, że ilość wilków w porównaniu z latami bezpośrednio powojennymi (1921—1924) spadła dziś do połowy. Niemniej nie przeczę, że wilk jest jeszcze pospolity na kresach. Dla myśliwego jednak mieszkającego w mieście lub przyjeżdżającego z innej dzielnicy na kresy szansa ubicia wilka będzie zawsze wypadkową następujących czynników: 1. łowisko musi należeć do rzędu tych, gdzie się wilki w ogóle kładą na spoczynek dzienny; 2. wilki musi otropić i polowanie zorganizować wytrawny „wilczarz“: 3. przyjezdny myśliwy musi mieć w dyspozycji od 7 do 14 dni na oczekiwanie bądź pomyślnego meldunku, bądź nawet — bo to się często zdarza — pomyślnej aury; 4. aura pomyślna tj. śnieg. Jeżeli wszystkie te czynniki nie zawiodą, pozostanie zawsze jeden czynnik „niepewny“, dobrze znany wszystkim myśliwym — łut szczęścia.

5. Dzik, jak wspomniałem w części pierwszej niniejszego szkicu, nie należy do typowej zwierzyny kresowej, gdyż ziemie południowe i zachodnie mają go znacznie więcej. Nadto w administracyjnej Wileńszczyźnie dziki zupełnie nie występują, prócz południowej części jednego powiatu (wileńsko-trockiego).

6. Jeleń występuje na ziemiach wschodnich w dwóch ośrodkach. Kilkadziesiąt (?) sztuk jeleni przebywa w pow. słonimskim, gdzie zjawiły się dopiero po wojnie. Nadto Benedykt hr. Tyszkiewicz, właściciel wspaniałych terenów myśliwskich „Wiała“ w pow. wołożyńskim (woj. nowogródzkiego) zrobił w roku ubiegłym zarazem prawdziwie pański, jak i wysoce obywatelsko-łowiecki czyn wypuszczając ze swego 400-hektarowego zwierzyńca przeszło 30 sztuk jeleni — tytułem próby rozmnożenia się tych pięknych zwierzat w sąsiednich rewirach — otwartych. Na tym się na razie wyczerpuje „jeleniostan“ kresowy . . . Jak widzimy, jelenie mogą być na wschodzie — przy sprzyjających warunkach — zwierzyną przyszłości, na razie jednak w rachubę wchodzić nie mogą.

[1] Statystyki takiej nikt zresztą nie posiada. (Przyp. autora).

7. Bóbr jest na kresach nadzwyczaj rzadki i jako objęty ochroną bezwzględną (art. 48 prawa łowieckiego), przy której należałoby dla uzyskania prawa odstrzału bobra zmienić ustawę (tak!), nie może być w ogóle uważany za zwierzę łowne.

8. Głuszec . . . Zdaniem moim głuszec może stanowić poważny magnes dla turystyki łowieckiej na Ziemiach Wschodnich. Wprawdzie głuszce występując również na Pomorzu, w Karpatach oraz w Zamoyszczyźnie, jednak pod względem ilości głuszców kresy nasze biją bez wątpienia rekord. Tokowisko, gdzie odstrzał roczny wynosi do 10 kogutów, uważane jest na kresach za tokowisko przeciętne, natomiast znam osobiście tokowiska, w których najbardziej racjonalny odstrzał roczny waha się w granicach od 25 do 80 sztuk! Jeśli się weźmie pod uwagę, że przy przestrzeganiu elementarnych zasad zachowania się myśliwych na tokowisku wyzyskanie pełnego odstrzału jest zupełnie możliwe bez najmniejszej szkody dla przyszłości tokowiska, to można śmiało powiedzieć, że głuszców kresowych starczy nie tylko dla najbardziej zachłannych apetytów myśliwych miejscowych, ale i dla licznych gości z innych dzielnic.

Z gatunków zwierzyny „wysokołownej“ pominę milczeniem lisa i rogacza, jako zwierzyny pospolitej w całej Polsce. Co do lisa nadmienię tylko, że jest on bez wątpienia pospolitszy na kresach, niż w innych regionach Polski. Nadto nie od rzeczy będzie zanotować znamienny fakt, że ilość lisów jest wprost proporcjonalna do zasobności danego rewiru w drobną zwierzynę (zające).

9. Cietrzew . . . Ilość cietrzewi zmniejsza się na kresach w sposób tak widoczny, że odzywały się nawet głosy nawołujące do zamknięcia na lat kilka polowania na cietrzewie z wyżłem.[2] Czytelników interesujących się tym problemem odsyłam do artykułów pp. Pac-Pomarnackiego i L. Radyńskiego oraz niżej podpisanego na łamach „Łowca Polskiego“ w roku ubiegłym.

10. Pardwa przebywa tylko w północnych powiatach Wileńszczyzny. Byt jej jest tak dalece zagrożony, że Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich (Oddział P. Z. Ł. w Wilnie) powołało jeszcze przed trzema laty specjalną sekcję ochrony pardwy. Dotąd nie zaobserwowaliśmy ani skutków działalności tej sekcji, ani poprawy „pardwostanu“ w ogóle . . . Tak, czy inaczej — nie można w chwili obecnej zaliczać pardwy do zwierzyny „normalnej“.

11. Jarząbek jest w naszych kniejach wschodnich bardzo pospolity. Jednak — rzecz nader ciekawa — przebywa on w większych ilościach tylko w łowiskach, w których systematycznie tępi się lisy (używam z naciskiem wyrazu „tępi“) oraz intensywnie przetrzebia — borsuki i „niewinne“ wiewiórki.

12. Ze zwierzyny drobnej „łownej“) — według określenia śp. Świętorzeckiego) szarak jest

[2] Ostatnio wydane rozporządzenie Ministra Rolnictwa (Dz. Ust. nr 97, poz. 653 z r. 1938) sprowadza się w *praktyce* do zamknięcia polowania na cietrzewie z wyżłem na okres 4 lat. (Przyp. autora).

na kresach pospolity, jednak ilościowo występuje bardzo nierównomiernie w zależności od warunków alimentacyjnych oraz od nasilenia środków ochronno-hodowlanych: jak już wspomniałem w pierwszej części artykułu mnożą się na Wschodzie „oazy“, gdzie rozkład zajęcy na jednodniowym polowaniu nagonkowym przekracza setkę. — Bielak, stanowiący miłe urozmaicenie pędzenia kresowego, zwłaszcza dla myśliwych przyjezdnych, zmniejsza się ilościowo. Przyczyna zmniejszania się ilości bielaków nie jest dotąd wyjaśniona: niektórzy wysuwają hipotezę, że rosnaca z roku na rok ilość szaraków „wypiera“ bielaki. Jednak hipotezie tej brak na razie podstaw obiektywnych. Ptactwo wodne i błotne (kaczki, dubelty, kszyki) do niedawna nie tylko pospolite na kresach, lecz stanowiące nawet zwierzynę „podstawową“ tych kresów (tak, jak zające i kuropatwy na zachodzie) dziś wybitnie zmniejszyło się ilościowo. O przyczynach tego smutnego zjawiska pisałem szczegółowo w artykule „Troche o kaczkach“ („Łowiec Polski“ nr 30 z ub. roku). Tu zaznaczę tylko, że z Polesia, będącego jeszcze przed paru laty istnym rajem emocjonujących polowań na kaczory z krykuchą, dochodzą dziś alarmujące głosy o zastraszającym zmniejszaniu się „kaczostanu“ poleskiego . . .

Oto — w grubszych zarysach — obraz możliwości łowieckich Ziem Wschodnich. Obraz ten byłby jednak niepełny, gdybym nie wspomniał o pewnym bardzo poetycznym sposobie łowów, stanowiącym przed laty 20—30 ulubioną, tradycyjną, niemal jedyną formę łowów kresowych. Mam na myśli polowanie z ogarami tj. gończymi — polowanie stanowiące, jak wiemy, przepiękny akord końcowy nieśmiertelnego „Sobola i Panny“ J. Weyssenhoffa. Otóż muszę tu niestety rozwiać jeszcze jedną legendę łowiecko - kresową i stwierdzić, że „myślistwo z ogary“ podupadło na kresach tak dalece, iż można przemierzyć wszerz i wzdłuż mnogie dziesiatki kilometrów naszych kresów i nie posłyszeć ani razu dźwięcznej kapeli złożonej z dobranych głosów Zagraja, Lutni, Hałasa, Dunaja i Wisły . . . Pomimo uporczywie odmiennego stanowiska kilku innych pisarzy łowieckich twierdzą, że „myślistwo z ogary“ upadło. Czy się kiedy odrodzi? — nie wiadomo.

Michał K. Pawlikowski

POLOWANIE NA LISA Z JAMNIKIEM

— Co? Dwanaście lisów już upolowałeś przy pomocy swego „Zbója“? Gdybym Cię nie znał, przypuszczałbym, że koloryzujesz! Może zdradziłbyś, ile sztuk w ogóle upolowałeś w bieżącym sezonie?

— Wiadomo ci, że poluję na lisa tylko z jamnikiem, a w pewnych warunkach uznaje tylko nagonkę. Mam więc „tylko“ te dwanaście sztuk, o których ci wspominałem. Od 15 stycznia nie polowałem, aby lisy się przed cieczką w mym łowisku zadomowiły. Piszemy dzisiaj 27 stycznia i cieczka się rozpoczęła, tropów na dzisiejszej ponowie bardzo dużo. Wybierz się jutro rano z twą „Ciotą“ w plecaku do mnie, nie zapominając o dubeltówce oraz garści naboi.



Fot. dr J. Szuman

Doświadczony jamnik

Żegnając przyjaciela w progu domu zauważyłem, że zachód się z lekka zachmurza. O godzinie 4 przebudzając się, ucieszyć się mogłem widokiem cudnej ponowy, przy już wypogodzonym, gwieździstym niebie. Dodatkowo spadło 5 cm śniegu. Termometr wskazywał — 5°. Zanosiło się na wprost wymarzony dzień do przeprowadzenia wizytacji jam lisich. Cieczka się rozpoczęła, a zacny D. strzeże jamy lisie w swym łowisku jak oka w głowie. Już w listopadzie oczyszcza wyloty jam, usuwa z nich chrust i liście, a zapadłe wyloty odnawia z taką dokładnością, że najstarszy lisiura nie połapie się, kto mu zamek zimowy tak bajecznie wyremontował. Za to w czasie słoty, wichury i późniejszych ostrych mrozów, ród mykitów z dalszej okolicy korzysta z tej nie całkiem bezinteresownej gościnności. D. wie, że w czasie cieczki „zaludnią“ się jego jamy, co umożliwi mu łowy wysoce emocjonujące i dające prawdziwe zadowolenie myśliwskie.

D. bynajmniej nie zaprowadził u siebie hodowli lisów, jak by się wydawać mogło. Wyeliminował jednakże na długo przed zakazem niesławnej pamięci żelaza talerzowe i strychninę, twierdząc zupełnie słusznie, że te narzędzia tortur i skrytobójstwa pozostawić powinniśmy średniowieczu. Prawdziwy myśliwy dosyć ma sposobów pozbycia się nadmiernej ilości lisów ze swego łowiska i to sposobów nie doprowadzających do kolizji ani z prawem ani z etyką myśliwską. Żelaza talerzowe i trucizna do utrzymania lisa w należytych karbach potrzebne mogą być tylko partaczowi, nigdy zaś myśliwemu.

Wiem, że mamy jeszcze dzisiaj myśliwych, którzy znajdując w swym łowisku trop lisa, wypadają

z równowagi, co jednakże nie przeszkadza im w wygłaszaniu długich jeremiad na temat ubytku zajęcy, bażantów i innej zwierzyny łownej, której stan liczebny z powodu coraz bardziej szerzących się chorób, z roku na rok maleje. Innego znów myśliwego irytuje widok jednego lub dwóch lisów w swym łowisku, lecz dziesiątki a nawet setki kotów domowych, docierających do ostatniego zakątka łowiska, pożerających mu ogromny procent młodych zajęcy, bażantów i kuropatw, nie sprawia mu najmniejszej troski.

Ponieważ dzisiaj zachodziła możliwość wspólnej pracy „Cioty“ z „Zbójem“ jamnikiem p. D., wybrałem się wcześniej, aby pieskom umożliwić zapoznanie się przed wyruszeniem na łowy. Zabezpiecza to przed niespodziankami przy jamie, gdzie obce sobie jamniki zamiast pracy za lisem, wdawają się w walki zapaśnicze, raniąc się często poważnie.

Po całogodzinnym marszu z dubeltówką na ramieniu i „Ciotą“ w plecaku powitała mnie radosnym szczekaniem psiarnia p. D. Gospodarz wraz z swym gościem, emerytowanym kierownikiem szkoły p. Z., długoletnim sąsiadem łowieckim, dzierżawcą polnych terenów łowieckich pod lasem, z szczerą radością powitali mnie w progu. W czasie krótkiego śniadania pieski nasze, pierwotnie groźnie warczące, zawarły pakt nieagresji. Po śniadaniu, wsadziwszy jamniki do plecaków, wyruszyliśmy do pobliskiego lasu. Z. prowadził na otoku swego 14-miesięcznego szorstkowłosego „Iwana“, który podobno dławił i aportował najtęższe lisy.

W odległości 50 metrów od pierwszej jamy D. prosił nas o zatrzymanie się w miejscu, podczas gdy on wielkim kołem okrążył jamę, celem otropienia. Wracając po kilku minutach, szeptem informował nas, że sześć tropów wskazuje kierunek do, a tylko cztery tropy kierunek poza koło. Ostrożnie, unikając najmniejszego szelestu, zbliżyliśmy się pod wiatr, aby ewentualnych lokatorów nie ostrzec przed grożącym niebezpieczeństwem. Ponieważ do 25 metrów w promieniu obstrzał był możliwy, odstąpiliśmy ten pierwszy „dublet“ Z., jako najstarszemu wiekiem. Gdy stary wytrawny myśliwy stanął w pozycji „gotów“, ostrożnie podszedłem do najbliższego z czterech wylotów, uwolniłem „Ciotę“, która powoli znikła w ciemnym wylocie jamy. Następnie cofnąłem się ostrożnie za plecy Z., chcąc mu odebrać „Iwana“, którego poprzednio uwiązał do pasa swej torby myśliwskiej.
— Nie obawiaj się Pan — uspakaj mnie Z. — pies jest spokojny i po strzale waruje.

W tej chwili pod naszymi stopami zawrzało jak w piekle. Wściekłe ujadanie „Cioty“, głuchy łoskot podziemny, tuż pod powierzchnią, znów głębiej, teraz znów bliżej, zupełnie blisko, obłok śniegu, rudy rycerz, szalone szarpnięcie „Iwana“, fiknięcie kozła przez emeryta, huk wystrzału w próżnię, „Iwan“ z torbą myśliwską na otoku znikający w pogoni za zdrowym lisem w sąsiednim gąszczu, to dzieło kilku tylko sekund. Zajęci ratowaniem zacnego staruszka, nie zauważyliśmy nawet drugiego uchodzącego lisa. Na szczęście pechowemu myśliwemu nic się nie stało. „Ciota“ szczęśliwie znalazła się w plecaku, po czym zajęliśmy się wypracowaniem tropu „Iwana“, odszukując w śniegu z 30 naboi zaledwie 8 sztuk. Po upływie pół godziny powrócił Iwan z próżną torbą. Termos z całkim „nieemerytowanym“ krupnikiem leżał rozbity pod sosną. Po solennym wygarbowaniu harapem „Iwanowej“ skóry — niewiadomo czy za niesubordynację, czy za nieprogramowe podlewanie sosen płynem przeznaczonym do zwilżania spragnionych wnętrzy myśliwskich, D. zaprowadził nas do drugiej z rzędu jamy.

Po dokładnym otropieniu oznajmił D., że lis do jamy wszedł, jednakże dolne piętro zajęte jest przez borsuka. Zrezygnowaliśmy więc z wszelkich zamiarów zaczepnych, udając się do następnej jamy, oddalonej o blisko kilometr, położonej na pagórku wśród starych i pięknych drzewostanów sosnowo-dębowych. Już w odległości 200 metrów od jamy zauważyliśmy tyle tropów lisich, że D. rezygnując z poprzedniego otropienia, prowadził nas wprost na stanowiska. Ponieważ całe wzgórze było podminowane, a wylotów było co najmniej 20, zajęliśmy stanowisko centralne, stając do siebie plecami. D. wyznaczywszy wpierw odcinki obstrzału dla każdego z myśliwych, puścił „Zbója“ do najbliższego wylotu. Nastąpiła kilkuminutowa cisza.

Nagle przywiązany do dębczaka przezornie na podwójnym otoku „Iwan“ drgnął! Wytężamy słuch — cisza! Po kwadransie wyszedł „Zbój“, lecz pospiesznie zniknął w innym wylocie. W obszernym labiryncie tej jamy, lisy miały dużo możliwości usuwania się jamnikowi z drogi. Zdejmując więc plecak i ostrożnie podchodząc do jednego z zewnętrznych wylotów wypuszczam „Ciotę“. Dochodząc do swego poprzedniego stanowiska widziałem tęgiego lisa opuszczającego w szalonym tempie jamę, którego Z. błyskawicznie rzuconym strzałem zrulował.

Po długiej ciszy ożywiło się teraz w podziemiach. Niewyraźnie dochodził do nas piskliwy głos „Cioty“, uganiającej lisa w głębszych piętrach jamy, podczas gdy w wylocie tuż przy moim stanowisku ukazało się „chytre oblicze“ starego kapitalnego lisa, który ujrzawszy aż trzech wrogów, momentalnie się cofnął. Głośne ujadania i szczekania w podziemiach nie ustawały już teraz ani na chwilę, lecz lisy wiedząc już teraz co się na powierzchni święci, jamy nie opuszczały. Od czasu ubicia lisa przez Z. minęła godzina wśród silnego napięcia nerwów. Z. oparł dubeltówkę o dąb i pospiesznie zapalał papierosa, po czym mruknął w stronę złoczyńcy „Iwana“: „Zimno ci „Iwanku“? Może byśmy się pokrzepili gorącym krup . . .“ W tym momencie tuż za plecami Z. wyskoczył z wylotu jak z procy kapitalny lis. D. i piszący rzucili w pospiechu po dwa strzały, lecz zdawało się, bezskuteczne. Z. natychmiast spuścił „Iwana“ z otoku, który już dobrze zziębnięty, pognał jak wiatr za uchodzącym w starodrzewiu lisem.

Po chwili rozległ się w jamie silny łoskot, zbliżający się szybko ku powierzchni i trzeci lis w pełnym biegu opuścił jamę. Rzuciłem niezbyt trudny strzał, który powalił go w puszystą powłokę śnieżną. W ślad za lisem wynurzył się z jamy „Zbój“,

który widząc leżącego na śniegu wroga, z zapałem rzucił się na niego, dławiąc już martwego. D. podchodząc, pochwalił ciętość pieska, odbierając mu zdobycz, by uchronić cenne futerko przed uszkodzeniem. W międzyczasie Z. podniósł swego lisa. Dwa psy szepnął — liszkę widocznie chybiliście. „Zbój“ przemęczony prawdopodobnie ciężką pracą w jamie, nie okazujący już zainteresowania, nagle zmarszczył czoło nadsłuchując uważnie, po czym spiesznie znikł w jamie. Pospieszyliśmy na swe stanowiska, skąd po kilku minutach usłyszeliśmy od-



Fot. dr J. Szuman

Powiodło się

głos ostrej walki w podziemiach, a nieco później ukazał się czwarty lis, gwałtem przez jamniki wypierany kitą naprzód, walecznie się odcinający atakującym go pieskom. Dwa strzały oddane jednocześnie przez D. i Z. rzuciły go na biały kobierzec.

Zmęczone długą ciężką pracą jamniki wsadziliśmy do plecaków, podczas gdy Z. zbadał trop rzekomo chybionej liszki i . . . znalazł farbę. Zajęci badaniem tropu postrzałka nie zwróciliśmy uwagi na dalsze otoczenie, gdy w odległości 50 kroków ujrzeliśmy dzielnego „Iwana“ aportującego postrzelonego tęgiego lisa — psa.

— Patrzcie, — rzekł szczerze uradowany Z. — jak dzielnie spisał się ten młokos. Bez jego pomocy lis byłby dla nas stracony.

Nie można było nie przyznać mu racji. — Nie zapominajmy, że mamy jeszcze liszkę w jamie — przypomniałem. — Puśćmy jeszcze raz nasze pieski.

— Nie kochany N., darujmy jej życie, bo tylko dzięki tej liszce przeżywaliśmy tak piękne chwile, pełne wrażeń myśliwskich, wśród tej cudnej, odzianej białym całunem przyrody leśnej, w której jedynym fałszywym tonem były nasze strzały — odrzekł zacny długoletni wychowawca młodzieży.

— Ależ to pogranicze pańskiego łowiska, kochany Z. Obawiam się, że lisy moje zdziesiątkują pańskie zające i kuropatwy — zaoponował D.

— Właśnie dlatego, kochany D. Od lat 24 dzierżawię polowanie nad lasem. Nie zabrakło nigdy lisów, równocześnie nie miałem powodu narzekać na brak zajęcy. Co najważniejsze, nigdy mi choroby nie dziesiątkowały zwierzyny. Przyroda dlatego wyznaczyła lisowi ważną funkcję komisarza sanitarnego w łowisku, gdyż wiedziała, że wykona on swe zadanie sumiennie. Nie propaguję hodowli lisów, lecz powiesiłbym strzelbę już dawno na haku, gdyby mi lisa zupełnie wytępiono. Kto nie tępi bezwzględnie, wałęsających się w naszych łowiskach całymi masami psów i kotów, nie niszcząc równocześnie wszelkimi środkami wronę szarą, nie dochowa się zwierzyny łownej mimo całkowitego wytępienia lisa.

D. zaproponował zbadać w drodze powrotnej jeszcze kilka znanych mu jam, na co zgodziliśmy się chętnie. Tropów było dużo przy wszystkich jamach, lecz mądre jamniki wsunąwszy swe wietrzniki do wylotów, stwierdziły nieobecność lokatorów.

W czasie wędrówki naszej od jamy do jamy, ucieszyliśmy się widokiem licznych rogaczy, których parostki w scypule świetnie się zapowiadały. Był to wynik długoletniej zgodnej współpracy tych dwóch sąsiadów hodowców i prawidłowych myśliwych.

— Czemu się tak głęboko zamyśliłeś N.? — zapytał D.

— Zazdroszczę Ci Twego zacnego sąsiada!

— Myślę, że masz także dobrych sąsiadów?

— Tak! Ale niestety od bardzo niedawna! Dlatego nauczyłem się cenić dobrych sąsiadów, jako wyjątkowy w dzisiejszych czasach dar św. Huberta!

Zadowoleni wracaliśmy do domu, gdzie po dokładnym wypłukaniu ócz naszym dzielnym jamnikom letnim odwarem rumianku (oraz wspólnej fotografii wraz z bogatym rozkładem), zabraliśmy się z zapałem do przygotowanych przez panią D. smakołyków myśliwskich.

— Pierwszorzędna szyneczka — delikatna niczem półgęsek!

— Całkiem słuszna ocena! — mruknął stary Z. Zresztą znana rzecz, że szynka borsucza jest niedościgniona w smaku!

Zrobiło mi się nie swojo. — Poprosiłem o kieliszek czystej, który wychyliłem jednym haustem. — Chyba kazałeś zbadać tego borsuka czy nie ma włośni? — zwróciłem się teraz do gospodarza.

— Głupstwo! Gdzieżby takie trzykwartalne jaźwiątko miało włośnie? Zresztą uspokój się, kochany N., bo obejrzałem sobie te szyneczki przez swą 8× lunetę i zapewniam Cię, że włośni nie widziałem! — Tego mi już naprawdę było za wiele! Sięgnąłem już teraz bez pytania po butelkę, napełniając i wypróżniając lampkę dwukrotnie.

Nie czekając zakończenia uczty, pożegnałem się pośpiesznie z miłymi towarzyszami łowów, przy czym D. spoglądając w me blednące oblicze poważnie potrząsał głową.

Z. zaś na dobre rozgniewany, przeżuwając kęs szynki borsuczej mruczał pod nosem: — Nie jesteś myśliwym kochany N.! Nie umiesz bowiem cenić darów naszych kniej! Słusznie tam ktoś w naszym „Myśliwym“ stawił Twe myślistwo w cudzysłów!

— Dziękuję! Polować z nimi do upadłego — ale nie ucztować! *Karol Nadobrzański*

Kilka uwag na temat prawidłowego oliwienia broni myśliwskiej. U wielu myśliwych pokutuje dziś jeszcze zdanie „oliwa — oliwą" i używają do czyszczenia broni oliwę, obojętnie jakiego gatunku. Kto strzela nabojami płaszczykowymi oraz znaczną ilością prochu, temu zwyczajna oliwa nie starczy.

Celem usunięcia osadu czy to niklu i miedzi z luf gwintowanych, a ołowiu z luf śrutowych, potrzebna jest oliwa specjalna. Wszystkie oliwy specjalne, służące do czyszczenia broni i będące w handlu, czy to Jedyl, Balistol, Nitroel, Polistol i jak się tam nazywają, zawierają substancje lekko płynne, niektóre nawet mydło.

Oliwy te przy zetknięciu się z powietrzem po pewnym czasie stężeją. Z uwagi na co dopiero wymienione właściwości oliwa taka zupełnie nie nadaje się do oliwienia części sunących np. zamku i spustu. Części te wymagają oliwy lekkiej, rzadkiej, nie skłonnej do tężenia. Niektórzy z myśliwych używają do smarowania części sunących zwyczajnej oliwy kostnej. Oliwa ta nie jest gęsta. Jednakże z uwagi na to, że oliwa kostna jest pochodzenia zwierzęcego, często jełczeje, co ujemnie wpływa na broń.

O wiele lepszą jest oliwa mineralna. Jako taką polecić mogę (do smarowania części sunących) oliwę parafinową, względnie wazelinową, które są pochodnymi ropy naftowej. Oliwa ta jest stosunkowo niedroga i do nabycia w każdej drogerii czy składzie aptecznym. Smarując części sunące należy pamiętać by nie smarować zbyt gęsto. Broń nie powinna „kapać oliwą"; winna ona raczej mieć lekki równomierny nalot oliwny. Nie silnie i rzadko, a często i lekko trzeba oliwić flinty.

Skoro pielęgnować będziemy dubeltówki, sztucery względnie krótką broń automatyczną w sposób co dopiero opisany, wówczas wykluczone będą niewypały i zacinanie się broni.

Dla pielęgnowania broni trzeba jeszcze trzeciego rodzaju oliwy, a mianowicie oliwy dla kolby (nasady). Jakże opłakanie wyglądają niektóre kolby. Porysowane, matowe itp. I nie trudno jest czyścić kolbę wcierając do niej od czasu do czasu nieco oleju lnianego (rzepakowego). Skoro kolba zwilgotniała, starczy wytrzeć ją dobrze szmatą, umaczaną w oleju lnianym. Przez nacieranie kolby olejem zapobiega się również wyginaniu się kolby względnie całego płaszcza drewnianego (np. u Mannlicher-Schoenauerów).

Pas czyścić trzeba oliwą kostną.

A zatem do prawidłowego pielęgnowania broni potrzebne nam są cztery rodzaje oliwy. Często bardzo — aż za często — spotkałem się z tym, że myśliwy lufę, zamek, kolbę i pas „czyścił" jednym i tym samym gatunkiem oliwy (najtańszym z drogerii). To jednakże nie jest dobrym sposobem, a skutki mogą być bardzo złe.

Dla przykładu podam wypadek z własnej praktyki. Jako student leśnictwa posiadałem dubeltówkę bezkurkową wyrobu Rheinmetall - Soemmerda (dziś już nie w handlu) z bocznymi sztyfcikami sygnalizacyjnymi. Wyjeżdżając po Gwiazdce do uczelni starannie naoliwiłem nie tylko lufy wewnątrz i zewnątrz, ale nawet łożysko, sprężyny, słowem całą flintę i jej mechanizm. Do wszystkich tych czynności używałem oliwy gatunku szybkostężającego. Dubeltówkę pieczołowicie zawiniętą w szmatę zamknąłem do szafy. Z końcem stycznia, korzystając z małej przerwy w nauce pojechałem do domu. Kiedy rano sanie zajechały przed dwór, zaraz zjawił się borowy z meldunkiem, że w jamach, położonych w oddziale 8a znajdują się 2 lisy. Szybko pobiegłem po flintę, przetarłem lufy, jamniki w sanie i jazda do lasu. Mróz dochodził 18° C. Zajmuję stanowisko przed grubym świerkiem niedaleko wylotu 2 rur. Borowy puszcza jamniki i staje niedaleko trzeciego wylotu. Początkowo cisza. Wtem powoli wysuwa się z wylotu śpiczasta morda okazałego lisa. Wychodzi bez zbytniej ostrożności do połowy z jamy i . . . otrząsa się z piasku. Idealny moment do strzału. Broń do ramienia. Cyk — niewypał, cyk — niewypał! Na powtórne nabicie flinty lis już nie czekał i w eleganckim susie znikł w pobliskim młodniku świerkowym. Łamię broń. — Kapiszony nie ruszone. Co robić?! Nie zorientowałem się w sytuacji, nabiłem powtórnie broń i czekam. Niedługo i jak strzelił — drugi lis wychodzi z tego samego otworu, za nim jamnik. Flinta znowóż dwa razy „cyknęła" a lisa nie było.

Co się okazało? Oliwa w mechaniźmie flinty przy 18° mrozu zupełnie stężała, sprężyny straciły na czas ten swe siły i iglic nie wyrzuciły. O jedno doświadczenie bogatszy wróciłem do domu, a morał tej historii: Myśliwcze! czyść i pielęgnuj Twą broń w sposób prawidłowy.

Myśliwy z Pomorza

Sezon łowiecki 1938/39 w Województwie Poznańskim. Uwagi, które zamieściłem w nrze 11 „Myśliwego" o jeleniach i ich trofeach, można też mutatis mutandis zastosować i do rogaczy w r. 1938, również nic wybitnego ani specjalnie dobrego ale niezłe przecięcie.

Wrzesień sprawił nam myśliwym o ile chodzi o kury dużo zawodu. W niektórych miejscach i to na glebach lekkich, przepuszczalnych było jeszcze jako tako, nie odbiegał tam stan zanadto od przeciętnego z dawnych lat, natomiast na glebach lepszych, cięższych i mniej przepuszczalnych był stan znacznie gorszy niż dawniej, a gdzieniegdzie omal że nie katastrofalny. Sezon na kuropatwy rozpoczął się ulewamy. Bażanty dopisały dobrze tego roku, może nawet lepiej jak w innych latach.

Sezon zajęczy przyniósł przeważnie zupełny zawód, wyjąwszy nieliczne bardzo wypadki, gdzie stan zajęcy zbliżał się prawie do normalnego, za to w olbrzymiej przewadze były rewiry, których stan zajęcy był znacznie niższy, czasami nie dochodzący nawet do połowy normalnego. W niektórych rewirach odwołano nawet polowania. Za-

jące przeważnie mniejsze niż zwykle. Do tego przyłączyły się w czasie najliczniejszych polowań zajęczych koło Bożego Narodzenia niebywałe jak na nasze strony mrozy. Wobec tego bilans tegorocznego zajęczego sezonu był bardzo marny.

Przyczyną tych niepowodzeń było u kuropatw zdaje się to, że lęgi z powodu słoty wymokły, u zajęcy zdaje się może to samo a przy tym w niektórych okolicach specjalnie na północ od Poznania, znajdywano dużo zajęcy padłych na jakąś zarazę. No ale króliki, to te choć nie zawsze pożądane, stawiły się w komplecie, nigdzie ich nie brakowało. Uwagi te stosują się tylko do dawniejszego terytorium naszego województwa, bo nie rozporządzam danymi z nowo przyłączonych powiatów. *S. M.*

Sezon zajęczy 1938/39 na Pomorzu. Należy stwierdzić, że na Pomorzu w bież. sezonie było mniej zajęcy aniżeli w ubiegłych latach. W łowiskach polno-leśnych, w których w roku ubiegłym padło 200 i 300 zajęcy, w bież. sezonie ubito 120 i 180 sztuk. Nawet w łowiskach polnych, w których bardzo pielęgnowano zające, zamiast ubiegłorocznego pokotu 400 sztuk, padło obecnie 280 zajęcy.

Różne są mniemania co do przyczyn zmniejszenia się stanu zajęcy. Niejedni twierdzą, że wiosna i tu i tam była dżdżysta, inni znowu, że lato było za suche. Mniemania są różne. Należałoby raczej twierdzić, że klimat pomorski jest za surowy i nie sprzyja rozwojowi zajęcy. Na Kujawach np. (o miedzę przez Drwęcę) pokoty już są liczniejsze, a zbliżyć się we Włocławskie, Inowrocławskie (dzisiejsze Wielkie Pomorze) pokoty zajęcze w oczach „Małego Pomorzanina" są wprost fantastyczne.

Ale i gleba tu cieplejsza i lasu mniej, a wiadomo, że zając a przede wszystkim kuropatwa, to zwierzę przeważnie polne. *Mały Pomorzanin*

Choroby u zajęcy. W minionym sezonie stan zajęcy w województwie Poznańskim był przeważnie bardzo lichy. Często rozkład równał się połowie albo jednej trzeciej normalnego, ale bywało i gorzej. Niewątpliwie w wielu wypadkach, jeżeli nie przeważnie, należy to przypisać chorobom. W wielu miejscowościach bowiem stwierdzono padanie zajęcy, a z niektórych otrzymałem padłe sztuki do zbadania. W kilku wypadkach chodziło o tzw. pseudotuberkulozę, w dwóch o posocznicę.

Pseudotuberkuloza jest to choroba gryzoni, a przede wszystkim zajęcy. Jest to najczęstsza zaraza zajęcy. Zarazek nie jest identyczny z prątkiem gruźlicy ludzkiej, choć na zewnątrz oznaki chorobowe są bardzo zbliżone, gdyż powstają gruzełki do wielkości orzecha laskowego, w płucach, wątrobie, nerkach itd. Zające zakażają się przy żerowaniu na wspólnych zakażonych odchodami żerowiskach, głównie na wiosnę, albo w łagodną zimę. Gruzełki występują naprzód na jelicie, a potem pokazują się przerzuty na wątrobie, płucach i i. Zwierzęta chudną silnie, słabną i w ciągu kilku tygodni zwykle padają.

Posocznica krwiotoczna, również bardzo częsta u zajęcy, atakuje błony śluzowe dróg oddechowych, które są u chorych sztuk silnie zaczerwienione. Choroba występuje zwykle w zimie i na wiosnę. Przebiega zwykle szybko i gwałtownie. Zwierzęta słabną i padają najczęściej w ciągu niewielu dni i dlatego tylko nieco chudną. Materiałem zakaźnym jest krwawy wyciek z nosa u żyjących, względnie krew z padłych rozwleczona przez szkodniki (przede wszystkim lisy!).

W wypadkach chorób należy bezzwłocznie pierwsze padłe sztuki przesłać do zbadania, a po stwierdzeniu tych chorób jak najprędzej zarządzić energiczny odstrzał, na terenie objętym przez chorobę, powiadamiając o tym sąsiadów łowieckich i miejscowe organizacje.

Na razie stwierdzono wypadki tych chorób w powiatach głównie południowych (Krotoszyn, Kępno, Gostyń), ale są wiadomości i z północnych (Szamotuły). Zaleca się dużą ostrożność przy kupowaniu zajęcy na chów, gdyż tzw. odświeżanie krwi, niekontrolowane, kończy się często zawleczeniem choroby. Badanie zajęcy przeprowadza, między innymi, Zakład Rybołówstwa i Łowiectwa U. P. Poznań, ul. Niestachowska 10. *Prof. dr Schechtel*

Coś niecoś o odstrzale sarn-kóz. W bieżącym roku łowieckim mam odstrzelić 18 kóz w łowisku 800 ha; stan sarn wynosi około 65 sztuk. Ilość ta nie jest za duża, gdyż bujna roślinność tutejszej okolicy dostarcza im odpowiedniej ilości wyżywienia. Podwyższono odstrzał z projektowanych 8 sztuk do tej liczby, prawdopodobnie dla rzekomego nadmiaru sarn i szkód wyrządzanych przez nie w zalesieniach dębowych i innych. W większej części powodem lichych zalesień dębowych nie są sarny, lecz przymrozki i to tam, gdzie dąb zastosowano do odnowienia na glebach nieodpowiednich (piaskach); na glebach zaś odpowiednich (glinach) udaje się dobrze, pomimo sarn i przymrozków.

W dwudziestoletniej swej praktyce łowieckiej w terenie, dużo się sarnom przyglądałem. Trafiają się sarny, które ogryzają sadzonki różnych gatunków drzew i to te pędy, które w zimie wystają ze śniegu. Jakie to są sztuki, które specjalnie lubią ogryzać? Otóż przeważnie sztuki postrzelone, chore itp. Te nie wychodzą na żer, bo są niedołężne i leniwe; wychodzą one niedaleko legowiska na zalesienia, czynią spustoszenia w czubkach sterczących ze śniegu. Obserwowałem pewną sztukę z odstrzeloną cewką, która co dzień (zimową porą) przebywała na pewnym zalesieniu i ogryzała wierzchołki. Po odstrzeleniu jej, sadzonki nie były uszkadzane.

O ile mogę odstrzelić w odstrzale selekcyjnym około 8 sztuk sarn, to takich „sabotażystów" będzie koło 3—4 sztuki w rewirze, a resztę odstrzeli się kozy jałowe, chodzące same (bez młódek) lub ze starymi kozłami. Zastanawiałem się nad tym, jakie sztuki odstrzelić poza wyżej wymienionymi, gdyż pozostaje ich jeszcze 10 sztuk. Kozy, które ma się wysyłać firmom eksportującym, mają ważyć co najmniej 14 kg, wobec czego trzeba by odstrzelić same stare kozy, gdyż prawie

żadna młódka tej wagi nie ma. Gdy się to uczyni, młódki zostaną bez opieki i nie prowadzone przez matki na żer, będą się trzymały zalesień i przez zimę ogryzać je. Dobrze byłoby odstrzelić całe „gniazda“, tj. kozę wraz z młódką lub dwoma. Ponieważ kozy mają przeważnie po dwie sztuki młodych, odstrzeli się za dużo młódek, na które nie ma zapotrzebowania.

Pamiętam stan sarn w tutejszych rewirach jeszcze z czasów zaborczych, kiedy było ich więcej niż obecnie, a zalesienia rosły dobrze. Karmiono je w porze zimowej i to zadawano karmę w miejscach, gdzie poczynały robić szkody. Stosuję ten zabieg już kilka lat z dobrym wynikiem, zakładając na krzakach małe pęczki dobrego siana wokoło takich zalesień, gdzie się przetrzymują sarny, a zalesienia dębowe smaruję odpowiednim preparatem, który na jakiś czas je odstrasza.

Starałem się zawsze przyczynić do podwyższenia zwierzostanu w swym rewirze, nieraz z narażeniem własnego życia, a teraz mam go zmniejszać?! S. O. S. wołam w imieniu sarn i proszę o ułaskawienie chociaż połowy „skazańców“.

Myśliwy z Kociewia

Myszołów włochaty. W dniu 26 listopada obserwowałem myszołowa, który opuścił się w pobliżu paśnika dla bażantów.

Kiedy doszedłem — a trwało to około 5 minut — zerwał się duży myszołów, którego intuicyjnie rzuconym strzałem ubiłem. Był to myszołów włochaty (zalatuje do nas zimą z północy — przyp. Red.), a na miejscu, z którego się poderwał, znalazłem kurę bażancią, która już do połowy była pożarta. A zatem w bażantarniach uwaga na myszołowy. *A. J.*

Przypadkowe wyniki strzałów. Na imieniny otrzymałem dubeltówkę kurkową. Strzelać już umiałem. Jak celować, nie bardzo wiedziałem — oczywiście do zwierzyny w biegu lub w locie.

Z nową flintą idę z ojcem przez rżysko. Nadlatują 2 dzikie gołębie, jeden za drugim w równej linii. Składam się i celuję na pierś pierwszego, a — drugi spada jak kamień. Zdziwieni byliśmy — i ojciec i ja. Pierwszy z powodu umiejętności strzelania syna, a ja dlatego, że do pierwszego celowałem, a drugi spadł. Parę tygodni później, po lekcjach u starego Bigusa (nazwisko polowego — stróża) dowiedziałem się na czym polegała moja sztuczka.

Inny wypadek. Widzę z daleka na podorywce wronę. Siedzi spokojnie i coś tam dziobie. Za nią wzniesienie. Składam się i strzelam. Po strzale wrona odlatuje, a za nią leży w ostatnich drgawkach zając. Co się okazało? Za wroną pod górą siedział w kotlinie zając. Wronę zgórowałem, a cały ładunek trafił zająca siedzącego w kotlinie nad wroną. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. To drobne są wypadki z następstwami bez większego znaczenia. Ale gorzej, jak się strzela do kaczki lub tp. i trafia człowieka. Więc ostrożnie!

S. Rad.

Z ŻYCIA MYŚLIWSKIEGO

Z WIELKOPOLSKIEGO STOWARZYSZENIA MYŚLIWSKIEGO. Na sali Piwnicy Ratuszowej odbyło się w dniu 19 stycznia 1939 r. roczne walne zebranie Wielkopolskiego Stowarzyszenia Myśliwskiego w Poznaniu. Przy bardzo licznym udziale członków obrady zagaił prezes p. Kazimierz Tomaszewski, poświęcając przemówienie Romanowi Dmowskiemu, którego pamięć uczcili obecni powstaniem z miejsc i jednominutowym milczeniem.

Z kolei przyjęto 6 nowych członków.

W komunikatach zarządu: zatwierdzono bilans zimowego polowania na zające, które odbyło się w dniu 9 grudnia 1938 r. na terenach dzierżawionych przez Stowarzyszenie w Mrowinie. Upolowano 112 zajęcy a królem polowania został p. Józef Paszek, mając na rozkładzie 13 zajęcy. Następnie omawiano udział Stowarzyszenia w strzelaniach zimowych o mistrzostwo miasta Poznania, które organizuje Polski Zw. Strzelectwa Sportowego w dniu 19 lutego br. na strzelnicy wojskowej przy Warowni VII, ul. Bukowska. Tradycyjna zabawa karnawałowa odbędzie się w sobotę, dnia 4 lutego na sali Izby Rzemieślniczej.

Po komunikatach zarządu przewodnictwo obrad objął por. rez. p. Józef Jankowiak, który na sekretarza powołał p. Stanisława Gorzyńskiego a na radnych pp. Piskorza i Pasikowskiego. Wyczerpujące sprawozdanie z działalności Stowarzyszenia za r. 1938 przedłożył prezes Stow. p. Tomaszewski, który podkreślił, że mimo trudności Stowarzyszenie rozwija sie i rozbudza wśród członków zrozumienie dla spraw łowieckich. Jak z sprawozdania wynika W. S. M. dzierżawi własne tereny łowieckie, umożliwiając wszystkim członkom polowanie. Urządzono różne imprezy myśliwskie m. i. próbne strzelania dla członków od 20 kwietnia do 18 maja a w czasie od 25 do 29 maja włącznie VIII doroczne konkursowe strzelania myśliwskie na strzelnicy Bractwa Kurkowego w Szelągu. Mistrzem Stowarzyszenia na rok 1938 został p. Stefan Zygmaniak a wicemistrzem p. Julian Depczyński. W strzelaniach o mistrzostwo O. K. VII brało Stowarzyszenie również udział, zdobywając zespołowe mistrzostwo O. K. VII do dzika i rogacza, wicemistrzostwo do jelenia i rogacza oraz II wicemistrzostwo do rogacza. Jednostkowo mistrzostwo O. K. VII do dzika i rogacza oraz wicemistrzostwo do rzutków zdobył członek W. S. M. p. Józef Szymkowiak.

Stan kasy referował skarbnik p. Kałużny komunikując, że rok 1938 był dla Stowarzyszenia pomyślny, gdyż suma obrotowa wynosiła zł 7 295,10 z czego zysk zł 174,96 przekazano jako dalszy fundusz rezerwowy. Z stanu biblioteki referował p. Stefan Zieliński.

W przeprowadzonych przez aklamację wyborach wybrano prezesem po raz jedenasty Kazimierza Tomaszewskiego, wiceprezesem Stanisława Góreckiego, sekretarzem kapitana Stefana Kurzawę, zast. sekretarza Juliana Depczyńskiego, skarbnikiem Antoniego Skowronka, bibliotekarzem Stefana Zielińskiego. Jako radni weszli w skład zarządu Dyr. Marian Pietrzyński, Józef Szymkowiak i Komisarz Miejski Stanisław Błoch. Do Komisji Rewizyjnej wybrano Insp. Skibińskiego, Dyr. Staszewskiego i Piętkę. Do Sądu Honorowego weszli: Poznański, Gorzyński, Jankowiak, Paszek i Pasikowski.

KRONIKA POLOWAŃ

Dnia 30 listopada br. odbyło się w majętności Modrze, u p. Józefa Hutten-Czapskiego pow. Poznań, polowanie w 10 strzelb, na drobną zwierzynę. Opolowano około 1500 ha, przy pogodzie chmurnej i temperaturze + 4° C, podnosząc 299 zajęcy, 53 bażanty, 15 kuropatw i 12 królików — razem 378 sztuk.

*

W Sokołowie i Studzieniu u p. Aleksandra Płoskiego odbyły się w ostatnim sezonie następujące polowania:

Dnia 10 września 1938 r. polowano w Sokołowie na kury; podniesiono 316 kuropatw.

Dnia 31 października 1938 r. polowano na folwarku Studzień. Rezultat polowania: 154 zające, 119 bażantów, 28 królików, 32 kuropatwy i 1 słonka, razem 334 sztuki.

Dnia 30 listopada i 1 grudnia 1938 r., odbyło się polowanie w Sokołowie z udziałem 11 fuzji. Podniesiono: 775 bażantów, 20 kuropatw, 171 zajęcy, 667 królików, razem 1633 sztuki.

W drugim dniu polowania było 1023 sztuki. Ogółem w oba dni zabito 822 zajęcy, 696 królików, 939 bażantów, 196 kuropatw i 2 lisy. Razem 2656.

Jest to wprawdzie rekord dwudniowego polowania w Sokołowie, jednak należy stwierdzić spadek o blisko 500 sztuk zajęcy w stosunku do poprzedniego polowania, a zastąpienie ich przez króliki. Natomiast stan bażantów bardzo się poprawił, wzrastając o 450 sztuk.

Dnia 2 stycznia 1939 r. polowano w 6 fuzji na króliki. Niestety z powodu zadymki śnieżnej, polowanko się nie udało. Zabito 130 królików.

Łącznie w ubiegłym sezonie doliczając 80 kuropatw, 41 królików i 9 kogutów bażancich zabitych przez właściciela, rezultat polowań wyniósł 3566 sztuk zwierzyny łownej, w czym 977 zajęcy, 1 067 bażantów, 634 kuropatwy, 888 królików.

*

Nadzwyczajny rozkład. W majątku Borzęciczki koło Koźmina własności znanego hodowcy hr. Stolberg-Wernigerode na polowaniu wyłącznie leśnym upolowano w siedmiu pędzeniach i dwóch małych ławach w siedem strzelb 383 zajęcy, 385 bażantów i 25 królików przy znakomitym prowadzeniu polowania. Do takich rezultatów dojść można przy umiejętnej hodowli.

*

Goczałkowo i Gurowo, pola 450 ha. 19 grudnia 1938 r. —19° C przy silnym wietrze. Strzelb 9. Rozkład: 43 zajęcy i 3 bażanty. Mimo bardzo mroźnej pogody dużo zajęcy zostało pominiętych przez nagonkę.

*

Polowanie leśne w Malińcu u hr. M. Kwileckiego odbyło się w dniach 12 i 13 stycznia br., przy udziale 9 flint. Opolowano ca 1 000 ha zagajników. Pogoda — przymrozek, dzień słoneczny. Stan zwierzyny bardzo dobry. Organizacja bez zarzutu. Ubito: 652 sztuki zwierzyny. 327 zajęcy, 242 kogutów — bażantów, 82 królików i 1 lisa (więcej lisów nie zauważono). Zaznaczyć trzeba, że bażanty zostały wysadzone w roku 1935 i 1936 za przyczyną śp. p. sędziego Orlicz-Dreszera. Królem polowania został p. dyr Stefan Gniatczyński (127 szt.). Dalsze miejsca zajęli Alfons Sobociński (89 szt.) Kamienice p. Ostrów Wlkp. i dyr. Tadeusz Majerowicz (82 szt.). *Esteg.*

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Wesołe opowiadania myśliwskie. Seria I. Wydawnictwo Redakcji „Łowca". Lwów 1939, str. 53.

Jest to plon konkursu ogłoszonego przez redakcję „Łowca" a utwory pomieszczone w I-szej serii były drukowane w lwowskim Łowcu w r. 1938. Spośród ośmiu zamieszczonych wesołych opowiadań, siedem jest kapitalnych, co jest rzadkością w humorystycznej literaturze łowieckiej, która przeważnie choruje na pewien zanik dowcipu. Kapitalne są one właśnie dlatego, że nie silono się w nich na dowcip a opowiadano tylko barwnie przeżycia, które same przez się czy też przez zbieg okoliczności lub dzięki występującym w nich typom, tryskały humorem. Jedyna nowelka, moim zdaniem najsłabsza, choć pierwszorzędnego pióra, dlatego właśnie zawiodła, że autor pisząc ją chciał być dowcipnym a to trochę zawiodło, no i może nie całe pudło dzięki barwnemu stylowi ale w każdym razie „strzał był za krótki". Książeczkę tę można polecić każdemu myśliwemu, mającemu choć trochę poczucia humoru.

Beninde Joachim: Zur Naturgeschichte des Rothirsches. T. IV. Monographien der Wildsäugetiere. Nakł. dr Pawła Schöpsa, Lipsk. Str. 223 plus 31 il. i kart. 1937.

Na powyższą, u nas poza kołem naukowców, nieznaną prawie pracę należy zwrócić uwagę tych wszystkich myśliwych a specjalnie hodowców, którzy poważnie interesują się królem naszych lasów — jeleniem.

Nie jest to historia naturalna jelenia, tylko opracowanie jelenia z punktu ekologii tj. nauki, która bada stosunek organizmu żywego, jego środowiska. Praca ta rozpada się na cztery części: I. tyczącą się paleontologii i paleobiologii, II. morfologiczną i fizjologiczną, III. omawiająca ekologię jelenia i w końcu IV. o jego psychologii.

Dla hodowców i myśliwych interesujące są szczególnie rozdziały II—IV. Również wielce pouczające są ilustracje i wykresy.

Opracowanie ściśle naukowe, poważne i przynoszące wiele nowych szczegółów, których inne monografie dotąd nie dotykały. *S. M.*

SKRZYNKA ŁOWIECKA

1. *Jakie gatunki drzew i krzewów najlepiej nadają się do obsadzenia remiz polnych przy ich zakładaniu? Teren równinny, ziemia III klasy z podglebiem marglowym, bogatym w węglan wapnia. Rozchodzi mi się o gatunki, które szybko wzrastają.* *H. S. z G.*

Przy zakładaniu remiz w polach wybierać należy takie gatunki drzew i krzewów, które się szybko rozkrzewiają. Przede wszystkim nadaje się do remiz takich głóg - tarnina, który dobrze jest po dwóch do trzech latach przycinać z góry. Domieszać można również ligustr. Po brzegach remiz sadzić świerk, stosunkowo gęsto a w środku jeżynę i malinę dziką. Sadzić trzeba jak najgęściej, gdyż i tak nastąpi później tak zwane wydzielenie. A nawet krzewy, które uschły tworzą pożądaną ochronę dla ptaków łownych. Remizy zakładać najlepiej jesienią. Zwierzyna łowna przyzwyczaja się do nich przez zimę. Tam gdzie tego nie zrobiono, z konieczności rozpocząć założenie remizy bardzo wczesną wiosną.

POW. TORUŃ WOJ. POMORSKIE

Walne Zgromadzenie

członków P. Z. Ł. powiatu toruńskiego odbędzie się

dnia 23 lutego 1939 o godz. 12

w sali Dworu Artusa z następującym porządkiem obrad:

1. Stwierdzenie obecnych członków, 2. Zagajenie, 3. Odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zebrania, 4. Sprawozdanie z działalności za rok 1938, 5. Wybór człoków Powiatowej Rady Łowieckiej, 6. Wybór Delegata na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie, 7. Referat i dyskusja, 8. Wolne głosy.

Kentzer
Łowczy Powiatowy

Do łowiska ca 1500 ha potrzebny **strażnik łowiecki,** bażantarnik, energiczny tępiciel drapieżników oraz kłusownictwa i dobrze obznajmiony z hodowlą zwierzyny; bażanty na dziko. — Zgłoszenia na piśmie, których się nie zwraca do Red. »Myśliwego« pod »Strażnik«.

Strażnik leśny i łowiecki poszukiwany od 1 kwietnia. Zgłoszenia z życiorysem, odpisami świadectw i wymaganiami kierować do Zarządu Dóbr Przyborowie, p. Grabiny, Małopolska Zach. Nieprzyjęte bez odpowiedzi.

SADZONKI wszystkich drzew leśnych krajowych, oraz ważniejszych aklimatyzowanych, w znanej pierwszorzędnej jakości, polecamy po cenach umiarkowanych. Specjalność: Sosna pospolita 1-roczna silna i zdrowa, wychodowana w rzadkich siewach z nasion zebranych z własnych drzewostanów rodzimej sosny wielkopolskiej.
Zarząd leśny majętn. Gościeszyn n. Obrą pow. Wolsztyn Tel. Wolsztyn 16.

Wyżełki czarno-białe po suce czystej pointerce po pointerze z Żydowa Skander-Beyu, ojciec szczeniąt bardzo dobry silnie zbudowany wyżeł niemiecki krótkowłosy, do oddania po 40 zł. Majątek Brzoza p. Buk

Kupuję

żywe bażanty, kuropatwy, zające

według najwyższych cen z natychmiastową zapłatą. Sieci do chwytania, instrukcje, opakowanie, stawię bezpłatnie do dyspozycji.

Eksport żywej zwierzyny
Wolf v. Bernuth
Borowo-Villa p. Czempiń tel. Czempiń 32.

DROBNE OGŁOSZENIA

Szkockie terriery ojciec Argus v. goldenen Perle matka Ronny v. Danzig sprzeda Opielińska Białężyce pow. Września.

Dryling bezkurkowy — śrut kal. 12 kula kal. 8 wzgl. 7, kupię. Zgłoszenia Kowalczyk, Bydgoszcz, Matejki 8.

Na okładce Leśniczówka w Beskidach fot. Jan Kuglin

Drukarnia i Wydawca: Rolnicza Drukarnia i Księgarnia Nakładowa, Spółka z ogr. odp. w Poznaniu, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.

Redaktor naczelny: Dr inż. Leon Ossowski.

Adres redakcji i administracji: Poznań, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.

Prenumerata: za kwartał zł 3, za pół roku zł 6, za rok zł 12. Pocztowe konto rozrachunkowe nr 28, PKO 212 175.

Redakcja nie zwraca rękopisów przyjętych do druku i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów oraz decyzji co do czasu ich umieszczenia.